

KUŹNICA

Rok IV

Łódź, 12 grudnia 1948 r.

Nr 50 (171)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

WŁODZ MIERZ SOKORSKI

FORMALIZM I REALIZM W MUZYCE

NAJTRUDNIEJ może postawić diagnozę. Uchwycić newralgiczny punkt kryzysu. Wskazać na węzłowy problem dyskusyjnego zagadnienia. Przy analizie twórczości muzycznej w Polsce jest to zadanie tym trudniejsze, że kompozytorzy polscy mogą się w ostatnich latach poszczycić sukcesami, które rozślawiły imię Polski daleko poza granicami naszego kraju. Z drugiej jednak strony zarysowuje się coraz wyraźniej poważna izolacja od własnego społeczeństwa, a zwłaszcza od szerokiego rzeszy ludzi pracy, większości naszych współczesnych kompozytorów. Muzyka współczesna nie znajduje właściwego rezonansu u słuchacza, nie zahacza się o jego wrażliwość uczuciową, wywołuje reakcję często wręcz przeciwną od zamierzonej. Tragizm rozbraja twórcy i jego odbiorcy stanowią w tych warunkach zjawisko najbardziej typowe dla chwili obecnej, stanowi istotę zagadnienia, od analizy którego należy rozpocząć wszelkie nasze rozważania.

Postawmy sprawę wyraźnie. Nie jest to problem złożoności czy prostoty formy muzycznej, ani zagadnienie jej przejrzystości czy niezrozumiałości. Jest to w pierwszym rzędzie problem innej percepcji, innej wrażliwości muzycznej twórcy i słuchacza. Ta inność reakcji na zjawiska muzyczne audytorium i artysty jest z kolei rezultatem ich innej wewnętrznej postawy psychicznej, innego układu estetycznych przeżyć, co z kolei uwarunkowane jest innym procesem rozwojowym środowiska dotychczasowego twórcy i nowego odbiorcy, rekrutującego się przeważnie z grona ludzi pracy. Klucz do rozwiązania zagadnienia nie leży więc w płaszczyźnie łatwa czy trudna muzyka, a w płaszczyźnie przewyższenia epigoniastycznej muzyki epoki schyłkowego kapitalizmu, o wyraźnych już cechach zwyrodnienia formalistycznego i odnalezienia własnego wyrazu artystycznego zarówno tematycznego jak i formalnego.

Zdajemy sobie już sprawę z tego, że każdy twórca jest człowiekiem swojej własnej epoki. Jej sprzeczności i jej przeciwieństwa. Jest, w mniejszym lub większym stopniu, produktem zarówno tradycji jak i walk współczesności i niejednokrotnie wypadkową zarówno nowych prądów rewolucyjnych jak i nacisku przeszłości.

„Sprzeczności w poglądach — pisał Lenin o Lwie Tolstoj — nie są przypadkowe i nie są tylko sprzecznościami jego indywidualnej myśli, lecz są odbiciem tych niezwykle złożonych, skomplikowanych, pełnych przeciwieństw warunków społecznych i tradycji historycznych, które formowały psychologię różnych klas i różnych warstw społecznych ówczesnego społeczeństwa”.

Oczywiście w każdym twórcy znajdują przewagę te czy inne elementy jego światopoglądu, które określają jego stosunek do tej czy innej rzeczywistości społecznej, lecz równocześnie niejednym z wielkich twórców, wiedziony genialnym wyczuwaniem dróg rozwojowych historii przekraczał ramy własnego środowiska i przewidywał, jak w twórczym procesie opory i hamulce epoki, dziełem swojego życia stawał się własnością nadchodzących pokoleń.

Do tych geniuszy należał również i Chopin, który wyczuł przyszłość i wielkość muzyki polskiej w nawiązaniu do ludowego podglebia własnego narodu. Wyczuł odkrywczo wartość jego pieśni i melodii ludowych, wyrosłych w codziennym tworzeniu bezimiennych twórców, w ich wiekowej, trwającej stulecia pracy.

Tam więc zeszedł Chopin, żeby zaczerpnąć natchnienia dla swego geniuszu, żeby przetopić w najnowszej muzycznej technice i w najnowszym muzycznym wirtuozostwie pragnienia i nadzieje swojego ludu

i na tej drodze stworzyć muzykę na miarę światową.

„Internacjonalizm w sztuce — pisał Żdanow — rodzi się nie na bazie pomniejszenia i zubożenia narodowej sztuki! Przeciwnie, internacjonalizm w sztuce rodzi się tam, gdzie rozkwita sztuka narodowa. Zapomnij o tej prawdzie, oznacza utracić linię przewodnią, utracić swoje oblicze, stać się kosmopolitą bez ojczyzny”.

Fryderyk Chopin stał się geniuszem muzycznym świata, przekraczającym granice swojej ojczyzny i swojego czasu przede wszystkim dlatego, że w genialny sposób wyraził nastroj, uczucia i problematykę muzyczną swojej epoki, wyrastając z duszy muzycznej własnego ludu — jego cierpienia, jego walk, jego smutku i radości.

W tej perspektywie wydarzeń Chopin jest dla nas nie tylko symbolem wielkiej przeszłości, lecz drogowskazem w rozwiązywaniu trudnej problematyki dnia dzisiejszego, w naszych poszukiwaniach własnego oblicza muzyki epoki socjalistycznej.

Jak każda inna dziedzina twórczości artystycznej, podobnie i muzyka jest określona postawą psychicznego układu człowieka, jego przeżyć, jego skłonności do podzielenia się z otoczeniem swoją radością, smutkiem, trwogą i zwycięstwem. Lecz podobnie jak człowiek jest wypadkową a jednocześnie twórcą swojej epoki, tak i muzyka nie może bez logicznych następstw zwyrodnienia trwać na pozycjach kierunku artystycznego epoki już przeżytej.

Ten proces odbywa się nie mechanicznie i nawet nie zawsze świadomie dla samego twórcy, będąc zresztą uzależniony nie tylko od warunków zewnętrznych środowiska, lecz również i od konstrukcji psychicznej człowieka, w którym różne zjawiska w różnej mierze i w wieloraki sposób się załamują.

Na przykład w związku z powstawaniem pojęć naukowych Lenin pisał: „Podejście rozumu człowieka do odrębnego przedmiotu, powstanie pojęcia nie jest prostym, bezpośrednim, martwym aktem odbicia, lecz procesem skomplikowanym, zawiłym, dopuszczającym możliwość rozbieżności między fantazją a życiem, a nawet możliwość przekształcenia, przy tym przekształcenia niedostrzegalnego, nieświadomego, abstrakcyjnego, poszczególnego pojęcia, idei w fantazję”.

Jeżeli przełożymy ten proces kształtowania się ludzkich pojęć i odczuwań w sferę muzyki, a więc przeżyć wyrażonych w złożonym mechanizmie określonego układu dźwięków, niejednokrotnie zresztą będących poza zasięgiem świadomości muzycznej słuchacza, to wówczas dopiero dojrzymy całą ogromną trudność w określaniu potrzeb czy kierunków muzycznych naszej epoki.

Muzyka bowiem należy do tej dziedziny sztuki, która znacznie mniej od innych czysta tematycznie, jest tym samym bardziej od innych spóźniająca się w podążaniu za przebudową społeczną swojej epoki.

W tych warunkach zagadnienia własnego wyrazu muzycznego nie rozstrzygniemy bez przyjęcia zasady dialektycznej jedności treści i formy, chociaż nie tożsamości, jeżeli chodzi o istotę twórczego procesu. Treść i forma mogą się w twórczym procesie nie nakładać na siebie i to będzie znamiennym chybionym dziełem, lecz nawet i w tym wypadku nie można rozpatrywać techniki muzycznego tworzenia jako procesu sui generis formalnego, lecz jako rezultat procesu, uwarunkowanego zarówno atmosferą i przeciwnościami środowiska i jego otoczenia, chociaż nierozwiązanego tematycznie na danym etapie przez twórcę.

„Idealizm filozoficzny — pisał w tychże zeszycach Lenin — wiodący nieuchronnie do uznania za przyczynę wszystkich przyczyn nadprzyrodzonej siły, jest czymś bez-

podstawnym, jest niewątpliwie kwiatem bezpłodnym, kwiatem, który rośnie na żywym drzewie absolutnego poznania ludzkiego”.

W ten sposób tak zwany formalizm w muzyce należy rozumieć jako bezpłodną już dziś metodę twórczą, widzącą w treści tylko funkcję formy w przeciwieństwie do metody realizmu socjalistycznego widzącego w formie, w rzemiośle twórczym, konstrukcyjny wyraz dla swojej treści, nastroju, pasji artystycznej, a więc stojącego na gruncie jedności treści i formy, jako jednolitego aktu twórczego, uwarunkowanego daną epoką i danymi środkami muzycznymi. Wychodząc jednak z powyższego założenia musimy przyjąć, że nawet dzieła muzyczne, powstałe jako wynik stosowania metody formalistycznej są w istocie rzeczy dziełami posiadającymi żywą treść epoki schyłkowego kapitalizmu, są ich odbiciem wewnętrznych przeciwieństw, a więc są dziełami wbrew, albo pomimo świadomości autora głęboko tematycznymi, a tym samym obcymi w dobie rewolucji i budownictwa socjalistycznego.

Zdajemy sobie wprawdzie sprawę z tego, że każdy kierunek w sztuce miał okres twórczego protestu, twórczego rozkwitu i kolejnego upadku, lecz nie wszystkie kierunki artystyczne przeżywały powyższe etapy na jednoznacznych falach postępu.

I chociaż niki na przykład nie zaprzeczy, że Szymanowski był twórczym protestem przeciwko sielankowości Noskowskiego czy Moniuszki i że w pewnym stopniu pożytecznym był z punktu widzenia rozwoju twórczości muzycznej miniony okres rozbijania uświęconych zasad tonalności i klasycznej harmonii, bez którego nie mielibyśmy osiągnąć technicznych, które są dziełem pierwszej połowy dwudziestego wieku, lecz jednocześnie nie możemy nie zdawać sobie sprawy z tego, że ten okres był artystycznym wyrazem schyłkowego etapu ginącego kapitalizmu. Nie wyrósł więc na fali rewolucji dziejowej, a przeciwnie spłynął po fali rozpadających się systemów gospodarczych, politycznych, moralnych i estetycznych. Równocześnie proces rewolucyjny naszych dziejów rozdarł w strzępy dotychczasowy układ psychiczny i estetyczny twórczej elity, zawieszony nagle ponad walką własnego narodu, chociaż sami stanowili część składową tej walki. W złożonym procesie przyswajania niezrozumiałych często dla siebie zjawisk i sublimowania ich na język dźwięków, twórca niejednokrotnie usiłował zamknąć się w złudnym przekonaniu izolacji i własnego ja i pozornie własnego świata dźwięków. Oczywiście było to złudzeniem, ponieważ jego muzyka miała mimo stosowania formalistycznej metody kompozycji, głęboko społeczne i socjologicznie uwarunkowane korzenie. Była po prostu twórczym odbiciem chaosu ginącego świata.

I dlatego nie jest również dziełem przypadku, że coraz częściej w twórczości amerykańskiej elity muzycznej, zaczął przebić się specyficzny motyw ludowej muzyki murzyńskiej, ze złowrogą siłą przedzierającej się do najwyższych dziś wyżyn muzyki symfonicznej. Ta skrzywiona percepcja muzyki ludowej najbardziej uciskanego i pogardzanego przez imperializm amerykański narodu rzuca ponury cień na epigonizm całego tego okresu, który już dziś bezpowrotnie się zamyka.

W tych warunkach między elitą twórczą, która wyszła z ginącej epoki, a nowym narodem który wyrasta z klasowej walki proletariatu musiała się otworzyć przepaść wzajemnego niezrozumienia, której nie można dzisiaj inaczej przeżyć jak tylko nowym rewolucyjnym skokiem.

Istotą tej przepaści jest omówiona już na początku różność treściowa odczuwania este-

„Nie było ustroju, który dla swoich własnych wielkich artystów byłby równie obcy — jak ustrój kapitalistyczny.

Georg Lukacs

TREŚĆ NUMERU:

WŁODZIMIERZ SOKORSKI —
FORMALIZM I REALIZM
W MUZYCE

B. MEJŁACH —
DYSKUSJA FILOZOFICZNA
A ZAGADNIENIA ESTETYKI

IGNACY SZANIAWSKI —
GRAMMATICA IN SCHOLIS FACIT
MIRACULA CATECHISMUS
IN ECCLESIA

JERZY LAU
WYSTAWA OBRAZÓW

PAWEŁ HERTZ —
MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

GUY DE MAUPASSANT —
CNOTLIWIEC PANI HUSSON

SEWERYN POLLAK —
WIERZYE TRACKIF

JADWIGA SIEKIERSKA —
O TEATRZE ŚWIETLICOWYM

EDWARD MARTUSZEWSKI —
KSIAŻKA BARDZO HISZPAŃSKA

LECH BUDRECKI —
SPRAWY MAŁEGO REALIZMU

BOGUSŁAW ZAŁOŻYŃSKI —
W SPRAWIE POPULARYZACJI
WIEDZY TECHNICZNEJ
I PRZYRODNICZEJ

KRONIKA RADZIECKA

PRZEGLĄD PRASY

KORRESPONDENCJA

NOTY

tycznych, a w warunkach jedności treści i formy, różna wrażliwość twórcy i jego nowego słuchacza na wartości tematyczno-formalne dzieła. To też bezprzedmiotowa jest spotykana często w prasie dyskusja, czy to masy ludowe pozostały w tyle, czy też twórcy wysunęli się zbyt daleko naprzód w swoich poszukiwaniach tematyczno-formalnych. I jedna i druga definicja jest poprostu niesłuszną.

Istota bowiem zagadnienia polega na tym, że drogi walki, przeżyć, doznań, emocji z jednej strony twórcy, a z drugiej nowego odbiorcy były różne, były często przeciwstawne.

Stąd też różna jest ich apercpcja muzyczna, ich kryteria oceny i wymogi estetyczne, ich wewnętrzny, często sobie nawet jeszcze nieświadomiony proces wewnętrznych przeżyć.

Nie koniecznie bowiem należy muzykę rozumieć, żeby ją subiektywnie uczuciowo przeżyć. W sali koncertowej muzyka rozbija się niemal na tyle przekładów własnych, ilu jest słuchaczy na sali. Z chwilą jednak, gdy muzyka obją się martwo po widowni, nie uchwycona w żadnym aspekcie przez uczestników słuchowiska, to jest z chwilą, gdy w wyrażonej w niej zawartości psychicznej jest przeciwna nastawieniu odbiorcy, to albo nie jest muzyką wartościową, albo jest muzyką innej, obcej słuchaczowi epoki.

Niejednokrotnie twórcy byli za swego życia zwalczani przez możnych tego świata, którzy historycznie należeli do warstw odchodzących. I stąd ich pośmiertne zwycięstwo było zwycięstwem tej epoki, którą instynktownie, trafnie reprezentowali.

Kiedy jednak twórcy są krytykowani i zwalczani przez klasę rewolucyjną, przez własny rodzący się w ogniu ciężkiej klasowej walki naród, naród epoki socjalistycznej, to w tych warunkach jest to znamiennym tragicznym konfliktem twórcy i społeczeństwa, tragiczną rozbieżnością twórczej fantazji i twórczego życia.

I dlatego ten konflikt, może subiektywnie w niejednym wypadku tragiczny, obie-

którnym winien stać się konflikt twórczym, z którego wyrośnie nowa muzyka, muzyka nowego treściowego i formalnego układu, będącego odpowiednikiem konstrukcji psychicznej ludzi epoki idącego socjalizmu.

Nie jest rzeczą oczywiście naszą określać w jakich warunkach, w jakiej płaszczyźnie i w jaki sposób ten akt twórczy winien się dokonać. Jest to zadanie samych twórców, ich przeżycia artystycznego oraz ich artystycznego sumienia.

Jest dla nas tylko rzeczą bezsporną, że muzyka epoki socjalistycznej będzie socjalistyczna tylko w tym zakresie, w jakim muzyka Chopina czy też muzyka Mozarta była dziełem ich epoki.

Poszczególne utwory będzie umiejscowiony w historii i w czasie nie dlatego, że nazwiemy go symfonią socjalistyczną, czy też kantatą rewolucyjną, lecz że wyrośnie w duchu danej epoki w tym stopniu, w jakim wewnętrzna harmonia jego przeżyć będzie symbolizowała harmonię jego czasu.

Rzecz prosta, że poszczególny twórca częstokroć bywał umiejscowiony w tej a nie innej epoce, niezależnie nawet od swojej subiektywnej intencji. Świadomy jednak wysiłek artysty może w ogromnym stopniu przyspieszyć ten twórczy proces, chociaż nie zastąpi mechanicznie przeżycia artystycznego, uwarunkowanego tak często nie zawsze obliczalnymi subiektywnymi przesłankami.

Nikt więc nie da i dać nie może gotowej recepty na rozwiązanie jednostki treści i formy muzyki naszego okresu, lecz niewątpliwie możemy i powinniśmy określić przesłanki tego rozwiązania. W pierwszym rzędzie sprowadzają się one do rozumienia własnego dzieła nie jako rezultatu wyłącznie układu formalnego, lecz jako świadomego wysiłku zawarcia ładunku treściowo-ideowego we właściwym odpowiedniku formalnym.

Realizm w muzyce należy więc traktować nie mechanicznie, nie jako nową szkołę artystyczną, ponieważ w tych warunkach samą istotę realizmu w sztuce doprowadzimy do absurdu, lecz jako świadomy

stosunek do własnego tworzywa muzycznego, będącego wytworem określonych potrzeb społeczeństwa, wyrażonych w określonym języku muzycznym, który to język musimy odszukać na drodze szeregu praktycznych doświadczeń i w praktycznym zetknięciu się z chłonnością muzyczną świata pracy. Jedynym sprawdzianem takiego rozwiązania jest uczuciowa reakcja słuchacza.

„Sztuka bowiem zaczyna się dopiero wówczas, gdy w jakimś fragmencie przeżycia, uczucia, a nawet odruchu znajduje wyraz w apercpepcji słuchacza, czytelnika czy widza. Twórczość, którą czyta tylko sam autor nie wychodzi przeważnie poza zakres grafomanii.

Apercpepcja słuchacza może być oczywiście pełna lub zdawkowa, może zatrzymać się w pół tonie, niezrozumienia całości, może ulec pomieszaniu pojęć, lecz gdy jej nie ma zupełnie, gdy człowiek pozostaje poza dziełem autora, tam twórca musi wrócić do siebie, musi siebie odnaleźć w przeżyciu innych, jeżeli chce istotnie stworzyć prawdziwe dzieło sztuki.

Nie twierdzę, że współczesna twórczość nie ma odbiorcy. Niewątpliwie taki odbiorca istnieje. Sam zresztą autor jest dziełem określonej epoki i stąd też określeni ludzkiej tej epoki potrafią współczesną muzyką żyć i wzruszać się.

Twórczość lat ostatnich brzmi jednak martwo w robotniczej sali. Przechodzi mimo ludzi pracy, nie wkracza w ich duszę. Nie wywołuje wzruszeniowego spazmu. I nie jest to wbrew opinii problem złożoności formalnej, lecz niemal wyłącznie określonej wymowy artystycznej.

„Symfonia Warszawska” Woytowicza targnęła na przykład ludźmi. I targnie wydaje mi się każda robotnicza widownia. Nie dlatego, że nazywa się „Warszawską”, ale dlatego, że człowiek, że każdy słuchacz przeżywa w niej, często nawet nie myśląc o tym, tragedię walki i siłę swojego zwycięstwa.

Nie twierdzę również, że prof. Woytowicz znalazł rozwiązanie języka muzycznej nowej epoki, lecz niewątpliwie znalazł drogę do tego rozwiązania, tak samo jak ją odnajduje Panufnik i szuka jej Lu-

tosławski oraz szereg innych wybitnych polskich kompozytorów.

Nie rozwiązanie jest w tej chwili istotne. Związkiem, że nie ma rozwiązań mechanicznych. Istotnym na tym etapie jest świadoma organizacja drogi wiodącej do znalezienia nowego wyrazu w naszej muzyce i do znalezienia nowych form naszej twórczości muzycznej.

Sądzę na przykład, że zbliża się czas odrodzenia polskiej opery, zwłaszcza opery ludowej, że istnieją olbrzymie możliwości oratoriów ludowych i świetlicowych, inscenizacji muzycznych typu wielkich popisów zespołów robotniczych i zespołów wiejskich. Niewątpliwie dojrzewa okres monumentalnych widowisk muzycznych, złożonych z pieśni i tańca, ilustrujących życie i walkę naszego narodu, naszego ludu. Epoka baletu. Tematycznego baletu. Baletu, który układa taniec w konstrukcji muzycznej i nie jest z niej wyobcowany interpretacją baletmistra. Prześladuje dziś każdego twórcę pieśń, masowa pieśń, którą trzeba zerwać z warg robotniczych i włożyć w usta zespołów świetlicowych jako dojrzalą owoc świadomego artysty.

Z twórczego pnia naszej epoki, epoki tragicznej i wielkiej, wyłamującej się z wilczej natury epok minionych, z twórczego krzyku nowego człowieka odrzucającego wyzysk i ucisk, jako formę stosunków międzyludzkich, rodzi się zarówno w Związku Radzieckim jak i u nas nowa muzyka, która w przekładzie na język dźwięków wyrazi wewnętrzny układ przeżyć estetycznych oraz psychicznych nowego człowieka.

Mówiąc jednak o przyszłości musimy pamiętać, że nam nie wolno z przeszłości a priori odrzucić bez przewartościowania i przeanalizowania całości dorobku muzycznego człowieka.

Historia kultury daje nam szereg przykładów, że przewyciężając historycznie ostatni kierunek artystyczny, w procesie odnajdywania własnego oblicza, ludzkość niejednokrotnie przeżywa, wprowadza na nową, wyższą podstawę, charakterystyczny renesans zdawałoby się dawno minionych form artystycznych. Renesans ten nie streszcza się oczywiście w prostym naśladownictwie, ponieważ dialektyka pro-

cesu rozwojowego wyklucza powtarzalność w nowych warunkach jakiegokolwiek społecznego zjawiska.

Natomiast okresy burz i przełomów rewolucyjnych zawsze charakteryzuje odwrót od mistycyzmu i formalistycznych teorii w sztuce i nawrót do tych prądów, które świadomie szły na zdobywanie i zrozumienie najszerzych mas społecznych. Dlatego i dziś, nie odrzucając zresztą technicznych zdobyczy muzycznych schyłkowego kapitalizmu, świadomie idziemy na przewyższenie wewnętrznej postawy współczesnej muzyki i jej formalistycznego zwyrodnienia, nawiązując jednocześnie do wielkich rewolucyjnych duchów, w rodzaju Chopina, Mussorgskiego, czy Beethovena. Nie czynimy tego dla manieri naśladowniczej, lecz dla tym szybszego odnalezienia własnego wyrazu artystycznego, który musi posiadać nie tylko świadomość swoich korzeni społecznych, lecz również filozoficzno-artystycznych.

Dla prowadzenia tego rodzaju poważnych i rozległych prac, koniecznym stało się powołanie do życia Instytutu Sztuki, jako naukowej bazy dla przyszłej Akademii Sztuki i ośrodka pracy dla rozpracowania zagadnień sztuki współczesnej. Ministerstwo Kultury i Sztuki zamierza zogniskować w Instytucie Sztuki wszystkie dotychczas rozproszone placówki naukowo-artystyczne, podmurawiając jednocześnie Ministerstwo Radą Sztuki i Szkolnictwa Artystycznego o szerokich kompetencjach doradczymerytorycznych. Jednocześnie usamodzielnienie Rady Związków Artystycznych, jako centralnej reprezentacji stowarzyszeń artystycznych, z równoległym wejściem jej do Głównej Komisji przy Radzie Ministrów i do Rady Sztuki przy Ministerstwie Kultury i Sztuki pozwoli nam skoordynować całość zagadnień i prac nad przyszłym obliczem kulturalnym naszego kraju i ustalić politykę zgodnego współdziałania czynników państwowego, społecznego i twórczo-artystycznego w oparciu o doświadczenia Związku Radzieckiego i o dorobek ideologiczny marksistowsko-leninowskiej partii polskiego proletariatu.

Włodzimierz Sokorski

B. MEJLACH

Hum MELANIA KIERCZYŃSKA

Dyskusja filozoficzna a zagadnienia estetyki^{*)}

TEORETYCY kierunków idealistycznych określali estetykę jako naukę o kontemplacji zmysłowej. Takie określenie przedmiotu estetyki sięga, w ostatecznej instancji, do Baumgartena, który w swojej „Aesthetica” 1750 traktował ją jako naukę o doznaniu piękna. Za Baumgartenem i Kant w „Krytyce zdolności sądenia” nazywa również doznanie piękna — aktem estetycznym. W późniejszych systematach idealistycznych występowały różne określenia, jednakże we wszystkich tych wariantach kategorie estetyki ujmowane były jako kategorie „czystej świadomości”, nie pozostające w żadnym stosunku do „praktycznego zainteresowania”, do materialnej strony życia. Wskutek tego idealistyczna estetyka była bezsilna, gdy szło o objaśnienie istotnych przyczyn różnic ocen estetycznych u ludzi różnych historycznych epok i klas, o zrozumienie obiektywnych praw rządzących dziedziną sztuki. Punkt widzenia „immanentnej wartości” przeżycia estetycznego prowadził do oderwania sztuki od zadań praktycznej walki życiowej. Estetyka sprowadzała się, jak wyraził się Gorki, do „kapryśnego, nieuchwytnie-zmiennego pojęcia piękna”. Sama kategoria piękna pozbawiona była przy tym obiektywnej podstawy.

Podwaliny pod zbudowanie estetyki jako nauki dała teoria marksizmu-leninizmu, teoria, która sprowadziła z nieba na ziemię nawet takie dziedziny życia duchowego, jakie przedtem wydawały się jaknajdalej od dziedziny praktycznej działalności człowieka. Marksistowskie ujęcie genezy zjawisk ideologicznych stało się w całym znaczeniu tego słowa rewolucją we wszystkich dziedzinach wiedzy, m. in. również w estetyce. „Naszym punktem wyjścia — pisali Marks i Engels — jest nie to, co ludzie mówią, co sobie wyobrażają i przedstawiają, nie są ludzie ujęci w słowie, w myśli, w przedstawieniu i wyobrażeniu, nie od nich idziemy do ludzi rzeczywistych, naszym punktem wyjścia są ludzie istotnie czynni, z ich rzeczywistego procesu życiowego wyprowadzamy również i rozwój

ideologicznych odzwierciedleń i oddźwięków tegoż procesu życiowego. Nawet mgliste rojenia mózgu ludzkiego, nawet i one stanowią konsekwentne sublimacje (produkty) materialnego procesu życiowego, który może być sprawdzony w doświadczeniu, i który jest związany z materialnymi przesłankami¹⁾. W oświetleniu nauki marksistowskiej w sposób zupełnie nowy ujęte zostały zagadnienia sztuki, jako jednego z rodzajów praktyki społecznej, oraz zagadnienia estetyki, jako nauki o prawach i formach sztuki. Doznanie estetyczne okazało się nie bierną kontemplacją, lecz twórczym aktywnym stosunkiem do świata i dążeniem do przekształcenia świata zgodnie z ideałem społecznym, klasowym. Powstanie poczucia piękna znalazło swe objaśnienie w procesie pracy ludzkiej, a jednocześnie ujawnione zostało różnorodne znaczenie wyobrażeń estetycznych dla działalności ludzkiej. W ten sposób rozumieć należy uwagę Marksa o tym, że w swej działalności wytwórczej „...człowiek... tworzy... zgodnie z prawami piękna”, podczas gdy np. zwierzę budujące sobie norę „...tworzy tylko pod naciskiem bezpośredniej potrzeby fizycznej...²⁾. Wraz z rozwojem społeczeństwa sztuka, jako specjalny rodzaj ludzkiej praktyki, zaczęła ze swej strony wywierać wpływ na rozwój i doskonalenie się poczucia estetycznego: zgodnie z określeniem Marksa „Przedmiot sztuki... tworzy publiczność, która sztukę rozumie i zdolna jest rozkoszować się pięknem³⁾.”

Treść sztuki, odzwierciedlającej konkretne zjawiska, odtwarzającej życie w jego całej złożoności i wszystkich jego sprzecznościach, jest bez porównania szersza od ram owego „piękna”, jakie zakreślała estetyka idealistyczna. Stąd czerpie swe uzasadnienie fakt najściślejszego związku ustanowionego przez marksizm leninizm między estetyką a szerokim kręgiem zagadnień życia społecznego, historycznego rozwoju, walki politycznej. Ponieważ estetykę jakkolwiek zachowała specyficzność

swojego przedmiotu, odgradzać przestała od życia dziedziną „immanentnej wartości”, ponieważ treść estetyki stała się równoznaczna z treścią życia społecznego, za tym kryterium oceny estetycznej bardziej zbliżyło się do kryterium praktyki człowieka w ogóle. To też w samej istocie sztuki, jako opanowania świata środkami artyzmu, głęboko zakorzeniona jest marksistowsko-leninowska idea partyjności sztuki i w ogóle partyjności doznania estetycznego.

Zasady naukowo-materialistycznego podejścia do sprawy kategorii estetycznych oraz istoty sztuki, posiadają zasadnicze znaczenie dla określenia przedmiotu estetyki.

Jak wiadomo jedną z podstawowych ogólnych przesłanek w rozwiązywaniu zagadnień naukowych jest słuszne określenie przedmiotu badania.

Podczas dyskusji filozoficznej podkreślano, że w książce swojej „Historia filozofii zachodnio-europejskiej” Aleksandrow nie dał słusznego określenia przedmiotu historii filozofii, a brak ten, jak wiemy, cechuje również inne prace filozoficzne.

W podręczniku Aleksandrowa przedmiot badania określony jest bądź jako „historia myśli filozoficznej”, bądź jako „historia ludzkich poglądów na świat”, bądź jako „historia stopniowego, wznoszącego się coraz wyżej rozwoju wiedzy człowieka o otaczającym go świecie” itd.⁴⁾ Ale jeszcze większą nieokreśloność przedmiotu badania mamy w istniejących pracach z zakresu estetyki. Tutaj precyzowanie zadań estetyki zaczyna wypadać już nie tylko od określenia przedmiotu nauki, ale wprost od materiału jaki ma być badany.

Uważa się zwykle, że materiał, jakim zajają się winna estetyka, — to przede wszystkim utwory muzyczne, teatralne, dzieła malarstwa, rzeźby itd. Tu należy zauważyć, że jednym z działań estetyki winna być teoria literatury, jako jednego z rodzajów sztuki. Postulat ten dlatego trzeba specjalnie podkreślić, że w ostatnich czasach uważano teorię literatury i estetykę za dyscypliny istniejące całkiem

niezależnie jedna od drugiej. W praktyce uważano estetykę za naukę o ogólnych prawach rządzących sztuką, jak również za naukę o muzyce i sztukach plastycznych. Nie jest też rzeczą przypadku, że w obecnych podręcznikach teorii literatury nie ma mowy o estetyce, chociaż zagadnienia teorii literatury badać można z dobrym wynikiem jedynie w związku z historią estetyki i ogólnymi zasadami estetycznymi. W sprawach tych wypada nam sięgnąć do tradycji Bielińskiego, Dobrołubowa, Czernyszewskiego, którzy rozpatrywali zagadnienia literackie jako integralną część tzw. ogólnej estetyki. Zresztą, pewne oderwanie estetyki od teorii literatury da się wytłumaczyć również tym, że estetyka, jak dotychczas, należy wciąż jeszcze do nauk, o których pisał Czernyszewski, iż „...pozostają do dziś dnia uczoną własnością tzw. filozofów, wskutek tego, specjaliści nie są przygotowani do rozpracowania ogólnych pojęć, na których opiera się rozstrzygnięcie podstawowych zagadnień w tych dziedzinach wiedzy.⁵⁾”

Określenie estetyki jako nauki o prawach rządzących sztuką, wskazuje na materiał stanowiący przedmiot jej badań, ale bynajmniej nie wyczerpuje sprawy. Ograniczenie się do takiego określenia byłoby kontynuowaniem tradycji idealistycznej estetyki, która miała charakter abstrakcyjno-kontemplacyjny, obiektywistyczny. Te jej mankamenty sprawiły właśnie, że estetyka idealistyczna była przeważnie domeną krytyków, teoretyków i historyków sztuki, i w istocie rzeczy nie stymulowała rozwoju samej sztuki. Estetyka materialistyczna miała zupełnie inny charakter. Estetyka Bielińskiego stała się podstawą tzw. „naturalnej szkoły” realizmu artystycznego, pod którego wpływem rozwijała się twórczość najbardziej wybitnych pisarzy i poetów. Wiemy, że i estetyka Czernyszewskiego związana jest z kierunkami artystycznymi w literaturze, muzyce, malarstwie, kierunkami, które powstały pod bezpośrednim wpływem idei wielkiego materialisty rosyjskiego. Estetyka realiz-

*) Niniejszy artykuł stanowi rozdział drugiej broszury prof. Mejlacha pod powyższym tytułem. Broszura ta ukaże się w jęz. polskim w wydawnictwie Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej „Współpraca”.

¹⁾ K. Marks i F. Engels, Niemiecka ideologia, „Pisma”, t. IV, str. 16—17, ros. wyd.

²⁾ Tom „Marks i Engels o sztuce” Moskwa, 1937, str. 56—57.

³⁾ K. Marks i F. Engels „Pisma”, t. XII, cz. I, str. 182, ros. wyd.

⁴⁾ G. Aleksandrow, Historia filozofii zachodnioeuropejskiej, wyd. II, uzupełnione, Moskwa-Leningrad, 1946, str. 8, 9, 22.

⁵⁾ M. Czernyszewski, Przedmowa do 3 wydania „Estetycznego stosunku sztuki do rzeczywistości” (w zbiorowym tomie „Estetyka” str. 217).

mu socjalistycznego oparta na nauce marksizmu-leninizmu, stanowi twórczy program rozwoju sztuki radzieckiej. Zarówno dla rosyjskich rewolucyjnych demokratów lat 40—60-tych, jak też szczególnie dla wielkich teoretyków marksizmu-leninizmu estetyka była niesłychanie ostrą bronią w walce rewolucyjnej, narzędziem aktywnego oddziaływania na społeczeństwo, środkiem kształtowania postępowych kierunków w sztuce. Marks i Engels, Lenin i Stalin, broniąc postępowych, rewolucyjnych dążeń estetycznych, zwalczyli idee reakcyjne, teorię „sztuki dla sztuki”, pisarzy i krytyków reprezentujących poglądy błędne, hamujące rozwój ludowej sztuki realistycznej. Wszystko to należy uwzględnić, określając przedmiot estetyki, aby uniknąć kontemplacyjności i obiektywizmu, właściwych estetyce burżuazyjnej.

Estetyka stanowi dyscyplinę filozoficzną, jest częścią filozofii, to też u podstawy określenia jej przedmiotu leżeć musi określenie przedmiotu historii filozofii. A Zdanow, biorąc za punkt wyjścia definicję nauki filozofii, jakie znajdujemy w dziełach klasyków marksizmu - leninizmu, w swoim przemówieniu na dyskusji dał następujące określenie tej dyscypliny:

„Naukowa historia filozofii... jest historią zapoczątkowania, powstania i rozwoju materialistycznego poglądu na świat i praw jego. Ponieważ materializm wyrósł i rozwinął się w walce z kierunkami idealistycznymi, historia filozofii jest również historią walki materializmu z idealizmem.”

Punktem wyjścia dla tego określenia Zdanowa jest m. in. wskazówka Lenina, że przy studiach teorio-poznawczych, gnozeologicznych, trzeba koniecznie „traktować przedmiot pracy... historycznie, badając i uogólniając pochodzenie i rozwój poznania, przejście od niewiedzy do wiedzy.”

Cała historia rozwoju sztuki i estetyki świadczy o tym, że jedynie biorąc za punkt wyjścia takie leninowskie pojmowanie przedmiotu filozofii, można określić również przedmiot estetyki jako nauki. Estetyka i gnoseologia są ze sobą jaknajściślej powiązane. Od czasu kiedy w historii kultury ludzkości pojawiło się zagadnienie źródeł i form poznania, powstało również zagadnienie podstaw sztuki, czyli tej sfery ludzkiej działalności, która odbija rzeczywistość w zmysłowej, obrazowej formie.

Fakt, że w systematach filozoficznych wszystkich etapów historii kultury zagadnienie estetyki zajmują poważne miejsce, jest całkiem uzasadnione, albowiem poznanie nieskończonej różnorodności zjawisk przyrody i życia społecznego stanowi proces jednolity i we wszystkich formach swoich podlega tym samym prawom gnozeologicznym. Tego rodzaju pojmowanie wspólnych praw w teorii poznania i w estetyce wzięli Czernyszewski za punkt wyjścia swojej pracy „Estetyczny stosunek sztuki do rzeczywistości”. O tym samym mówił Dobrolubow, twierdząc, że specyficzność sztuki nie znajduje się w sprzeczności z zasadą, iż „nie może być istotnej różnicy między prawdziwym poznaniem a prawdziwą poezją”. Twierdzenie, o wspólności praw teorii poznania i estetyki znalazło swój pełny i precyzyjny wyraz w nieśmiertelnej pracy Lenina „Materializm i empiriokrytycyzm”, w której to pracy uwagi dotyczące estetyki włączone są w roztrząsanie zagadnień gnozeologicznych. Jest rzeczą znaną, że charakterystykę stosunku Czernyszewskiego do kantyizmu Lenin oparł na przedmowie Czernyszewskiego do trzeciego wydania „Estetycznego stosunku sztuki do rzeczywistości.”

Wszystko to uzasadnia zastosowanie również do estetyki leninowskiego twierdzenia o konieczności ujmowania filozofii „...historycznie, badając i uogólniając pochodzenie i rozwój poznania, przejście od niewiedzy do wiedzy.” W świetle tego leninowskiego wskazania należy określić historię estetyki jako historię wypracowania zasad naukowego, materialistycznego pojmowania procesu rozwoju sztuki, jak również jako historię powstania i rozwoju realistycznej metody odtwarzania życia w dziełach sztuki. Jest rzeczą wiadomą, że estetyka realizmu i jej etap najwyższy — estetyka socjalistycznego realizmu — ukształtowały się w walce z przeróżnymi teoriami, które sztukę przeciwstawiały rzeczywistości, i dla których punktem wyjścia było uznanie twórczości artystycznej za produkt „czystej świadomości”. To też historię estetyki, analogicznie do historii filozofii, traktować trzeba jako historię walki o estetykę materialistyczną z kierunkami i teoriami idealistycznymi.

⁸⁾ M. Dobrolubow, Pisma zebrane, t. II, 1935, str. 328.

⁹⁾ W. Lenin, Pisma, wyd. 3, t. XII, str. 293.

¹⁰⁾ W. Lenin, Pisma, wyd. 3-cie, t. XVIII, str. 11.

Tak rozumiany przedmiot estetyki zakłada więc nie tylko historię wypracowania zasad materialistycznego pojmowania praw rozwoju sztuki wszystkich okresów kultury ludzkiej; do estetyki włączona zostaje pozatym historia zapoczątkowania i rozwoju tzw. „norm estetycznych” czyli zasad jakie znajdowały wcielenie w samej twórczości artystycznej. Zadaniem dyscypliny tej będzie rozpracowanie zasad najbardziej postępowej sztuki — realizmu socjalistycznego — i naświetlenie dalszych dróg rozwoju i doskonalenia się sztuki. Nasza estetyka nie powinna bać się zarzutu normatywności. Normatywność estetyki radzieckiej opiera się nie na konstrukcjach abstrakcyjnych, metafizycznych, spekulatywnych, lecz na krytycznym zbadaniu historii estetyki i całej historii sztuki, na najbardziej postępowej teorii — marksizmie-leninizmie, na żądaniach, jakie sztuce naszej stawia nasza rzeczywistość socjalistyczna, naród radziecki. Marks mówił w swoim czasie, że „...sztuka grecka i epos... zachowują w pewnym stopniu znaczenie normy...”. Plechanow nie bał się, że reakcyjni kapłani czystej sztuki zarzucą mu dogmatyzm, kiedy nazwał estetyczne zasady Bielińskiego „kodeksem estetycznym”. Tymbardziej przystoi, byśmy w naszych czasach, gdy rozwój wszystkich dziedzin nowej kultury opiera się na zasadach ściśle naukowych, mówili o normatywności naszej estetyki w najlepszym znaczeniu tego słowa, o wypracowaniu naszego „kodeksu estetycznego” — estetyki socjalistycznego realizmu, nie tylko objaśniającej zasady sztuki radzieckiej, ale również oświecającej perspektywę jej rozwoju.

Określenie przedmiotu estetyki będzie jeszcze tematem dyskusji twórczych, sądzę jednakże, że w świetle wyników dyskusji filozoficznej zadanie i treść tej dyscypliny w tym duchu właśnie powinny być formułowane. Takie ujęcie historii estetyki i jej rozwoju wyłącza zarówno kontemplacyjność jak obiektywizm, które zakładają rozpatrywanie rozwoju idei estetycznych jako rozwoju ewolucyjnego, dokonywanego się drogą ilościowego nagromadzenia i prostego przejmowania przez jednego teoretyka spuścizny innego. Zastrzec się trzeba, że przedmiot estetyki zmieniał się w ciągu wieków podobnie, jak zmieniały się formy i treść sztuki. Zanik pierwiastków synkretyzmu w sztuce; zmiana roli mitologii w twórczości artystycznej; wyło-

nienie się czynnika świadomej ideowości artysty — procesy te, jakie dokonywały się na różnych etapach rozwoju sztuki w przeszłości, odbijały się po swojemu również na zmianie pojęć estetycznych.

I znowu: w dziedzinie estetyki dokonywał się taki sam proces, jak w dziedzinie historii filozofii, co do której Zdanow zauważył, że „...w ciągu różnych epok zmieniały się nie tylko poglądy na te lub inne zagadnienia historyczne, lecz nawet krąg owych zagadnień...”. Nie tylko w stosunku do starożytności, lecz również i do czasów nowych, nawet w stosunku do XVIII wieku, możemy mówić o walce żywiołowego realizmu z innymi, antyrealistycznymi kierunkami w estetyce, o dojrzewaniu pierwiastków realistycznych w stylach z punktu widzenia współczesnej estetyki antyrealistycznych (jak klasycyzm czy sentymentalizm). Zagadnienie realizmu w jego wyrazie prostym i bezpośrednim zrodziło się w estetyce wówczas dopiero, kiedy w pełnej mierze dojrzała również sztuka realistyczna. Z tego punktu widzenia można w całej pełni zastosować do estetyki słowa Bielińskiego o krytyce: „Dopóki nie sformowała się jeszcze sztuka, nie może być gotowa krytyka.”

Jednakże ponieważ na pewnych etapach historycznego rozwoju sztuka w mniejszym lub większym stopniu odzwierciedlała rzeczywistość, można więc mówić o stopniowym wypracowywaniu, wzroście, dojrzewaniu elementów i zasad sztuki realistycznej oraz ich walce z innymi, antyrealistycznymi zasadami. Rozwój historii estetyki, podobnie jak w ogóle historii ludzkiej wiedzy o świecie, nie szedł po linii prostej, lecz drogą pełną zygzaków. Ale jeśli zechcemy podkreślić bardzo dalekich przodków dwóch zasadniczych linii myśli estetycznej, linii które sięgają dawnych wieków, będziemy musieli wymienić dwa nazwiska, symbolizujące przeciwstawne pojmowanie sztuki: nazwisko Arystotelesa i Platona. Jeśli w estetycznych sądach swych Arystoteles w sposób genialny przewidział istotę stosunku sztuki do rzeczywistości, to w estetycznych konstrukcjach Platona zawierają się liczne momenty, będące zapowiedzią owych wyrafinowanych form subiektywizmu, które po wielu stuleciach doprowadziły do całkowitego upadku sztuki klas eksploatacyjnych.

B. Mełlach

¹¹⁾ „Woprosy filosofii”, 1947, Nr 1, str. 257.

¹²⁾ W. Lenin, Pisma, wyd. 3-cie, t. XVIII, str. 11.

¹³⁾ „Woprosy filosofii”, 1947, Nr 1, str. 258.

¹⁴⁾ W. Bieliński, Wybór pism w trzech tomach, t. II, 1936, str. 250.

IGNACY SZANIAWSKI

Grammatica in scholis facit miracula, catechismus in ecclesia^{*)}

W związku z opublikowanym niedawno przez „Tygodnik Powszechny” listem pasterskim Episkopatu Polski zwracamy uwagę czytelnika zamieszczonego niżej fragmentu pracy dr Szaniawskiego, której

tematem są dzieje walki o świeckość wychowania i szkoły w okresie rewolucji 1848 r., iż omawia on również list pasterski, również poświęcony problemom wychowania religijnego, również podpisany

przez kardynałów, biskupów i administratorów apostolskich, również utrzymany w tym samym tonie i stylu co orędzie biskupów z Wrocławia w r. 1948.

Redakcja

„Dla rozwoju swej produkcji przemysłowej potrzebowała burżuazja nauki badającej własności ciał fizycznych i sposoby działania sił przyrody. Ale nauka była dotychczas tylko pokorną służebnicą Kościoła, której nie wolno było przekraczać ustalonych przez wiarę szranków — słowem, była wszystkim, tylko nie nauką. Teraz zbuntowała się przeciw Kościołowi... Burżuazja potrzebowała nauki, toteż uczestniczyła w tym buncie...”

„W owych czasach każda walka przeciw feudalizmowi musiała wystąpić w przebraniu religijnym, musiała się zwracać przede wszystkim przeciw Kościołowi...”

TYMI — którzy zawodowo kontynuowali naukowe zdobycze wynalazców, którzy z racji swego położenia w społeczeństwie przekazywali zdobycze nowej mechaniki, fizyki, astronomii i fizjologii młodszemu pokoleniu, tymi wreszcie, którzy z racji swoich zadań popularyzowali nowoczesną wiedzę — byli nauczyciele. Nic tedy dziwnego, że czynny ich udział w ruchu rewolucyjnym w roku 1848 wywołał gwałtowny sprzeciw monarchii i Kościoła. Nauczycielstwo jako grupa zawodowa wyzwało się spod wpływów dogmatyzmu, działało przeciw ambonnie, dewalutowało patetyczną treść niedzielnych kazań, porывało się przeciw całemu stanowi duchownemu. W tej wielkiej wojnie przeciw Kościołowi i klerowi nauczycielstwo „zatrąciło umiar” i spowodowało liczne skargi i wielki niepokój tzw. oficjalnych i decydujących czynników. Wizytatorzy szkolni, którzy owe czynniki reprezentowali, spostrzegali, że bojaźń i pokora, która tak powszechnie cechowała nauczycielstwo, dziwnie szybko uleciała z tzw. „du-

chem epoki”. Raporty miejscowych inspektorów i klerikalnych przełożonych pełne były skarg. Podkreśla się w nich fakt, że nauczycielstwo bierze aktywny i gorący udział w życiu publicznym wsi i miast. Przy każdej nadarzającej się okazji zabierają nauczyciele głos, aby na placach, zebraniach masowych i w miejscowych gospodach mówić z przekąsem o Bogu i wierze.

Istotnie, w żadnej sprawie nie doszło do tak bezwzględnej zaostrzenia stosunków i ujawnienia całej nienawiści, jak w walce z klerikalnym nadzorem szkolnym i wpływem Kościoła na wewnętrzne życie szkoły i nauczyciela. Liberalizm i emancypacja przybrały w ruchu pedagogicznym owych dni przede wszystkim formy walki z dogmatyką i dogmatyzmem, bezwzględnego przeciwstawienia się teologom i teologii. Temperatura tej walki była tym wyższa, że skierowana była ona nie tylko zasadniczo przeciw podporze feudalizmu i monarchii — Kościołowi, ale — konkretnie — przeciw bezpośrednim mentorom, doradcom i wizytatorom szkoły, jakimi powszechnie w owych czasach byli księża. Oni stanowili władzę szkolną, byli w niej panami sytuacji, ich głosu słuchały władze centralne, ich wpływom podlegała ludność miejscowa, oni decydowali o życiu, samopoczuciu i warunkach materialnych nauczyciela. Zaangażować więc nauczycielstwo do tej walki było b. łatwo, ale nauka sama była bardzo trudna. Kler bowiem liczył w swoich szeregach wielu ludzi z wyższym wykształceniem, z wyższą kulturą towarzyską, ludzi pewnych siebie, działających w oparciu o doświadczone historyczne hierarchie kościelne, nauczycielstwo zaś szkół ludowych pozabawione na ogół wykształcenia nawet na poziomie średnim, „złe wychowane”, ośmieszane i przez warunki materialne upokorzone — co mogło tamtemu przeciwdziałać? Tylko ducha nienawiści! Tylko ducha rewolucji! Gdy jednak pojawił się Diesterweg, człowiek wykształcony i bene natus, pozabawiony pokory i uczucia niższości, oddany całym sercem sprawie wyzwolenia szkoły ludowej i jej nauczyciela, gdy, sku-

piwszy w sobie cały bunt i ból nauczycielskiego upokorzenia, pociągnął za sobą tysiące, a wśród nich — tak wybitnych i sławnych jak Köchly i Wander — wybuchł płomień. Cichy i pokorny, milczący i wzgardzony bałkacz, podniósł czoło i gromadą przystąpił do walki. Nie chciał i nie umiał w tej walce oddzielić samej religii od jej ziemskich reprezentantów. Nie chciał w tej demonstracji głośnej i pełnej gniewu ugiąć się przed wołaniem, że oto nauczyciel odbiera spójnikemu i pobożnemu ludowi jego wiarę w moralność!

Silny prąd i gwałtowne uniesienie fali rewolucyjnej porwał nauczycielstwo. Za nim poszła młodzież. Można było znaleźć nauczycieli nawołujących do budowania barykad na ulicach Berlina i ich uczniów wznoszących w podnieceniu barykady na przecznicach Drezna. Widziano na stopniach kościoła pedagogów, którzy nawoływali do zemsty i walki z księżmi i królami, do niszczenia świętych ołtarzy i świętych przywilejów pruskich feodaliów. Widziano młodzież szkolną i akademicką, jak z pieśnią: bluźnierstwa i profanacji szła wraz ze swoimi profesorami do walki przeciw królewskim żołnierzom, by przepędzić ich ze stolicy, pomimo nierównych szans. Widziano potem, jak wobec milczącego tłumy Berlina stał Fryderyk Wilhelm IV pochylony, z obnażoną głową, aby salutować długim kondukt pogrzebowy. Wśród dwustu kilkudziesięciu trupów, niesionych przez groźną ulicę, nie brakło także poległych nauczycieli. Nikt wówczas nie śpiewał królewskiego dwuwiersza: „Gegen Demokraten helfen nur Soldaten...”

Jak zaznaczono, część nauczycieli znalazła się po przeciwnej stronie barykady, wielu zachowało się chwiejnie i „bezpартijnie”.

Nie dziwiło to Diesterwega. Widział w tym odbicie starego systemu w psychologii świata pedagogicznego. „Zwyczajnie nie jest jeszcze odniesione — pisał — walka dopiero się zaczyna. Musi ona stać się powszechną. Błada temu, i powtarzam to raz jeszcze, kto nie weźmie w niej udziału. Błada słabemu i tchórzliwemu, który wszystkiego ockazuje od innych.

Kto chce krzepkiego, silnego i prawdziwie ludzkiego wychowania i nauczania całej młodzieży, musi chcieć wolności nauczyciela i samodzielności szkoły. Żelazo jest gorące. Należy je kuć, dopóki się żarzy”. Ta postawa wywoływała w klerikalnych środowiskach bardzo silne i coraz bardziej niepokojące echo, tym silniejsze i tym bardziej niepokojące, że nauczyciele coraz częściej i głośniejsze domagali się powrotu Diesterwega do pracy, przede wszystkim zaś oddania w jego ręce całokształtu wychowania w szkolnictwie ludowym. Księża, bezpośrednio lub pośrednio, ustami „swoich” nauczycieli, dawali wyraz swemu wielkiemu w tym względzie niepokojowi i zaskoczeniu. Możliwość powrotu sławnego dyrektora seminarium w Mörs i w Berlinie wydawała im się tym bardziej niepokojąca i bliska, że, jak się wyrażali, władze centralne, zachwiane w swojej powadze i spokoju, zaczynają przyjmować zwykłe rezolucje jako rozkazy, którym należy się podporządkować, a nie, jakby tego życzyli sobie klerikalne koła, odrzucić. Należało się — ich zdaniem — obawiać, że powołanie redaktora „Rheinische Blätter” do ministerstwa byłoby niespodziewanym krokiem ku oderwaniu szkoły od Kościoła i przyniosłoby przede wszystkim nieszczęście na głowy samych nauczycieli.

Petycja klerikalnego nauczycielstwa, podpisana przez niejakiho Langeberga, podkreślała wprost, że jeśliby Diesterweg naprawił wszedł do Ministerstwa, wówczas Kościół, nie czekając na żadne ubeczne i z innych źródeł płynące decyzje, sam oddzielił się od szkoły ludowej, którą by kierował człowiek, występujący przeciw Pismu Świętemu, świętej nauce o pochodzeniu człowieka. Kościół oczywiście i jego wierni nauczyciele nie życzą sobie rozdziału ale nie obawiają się go, jeśli zajdzie konieczność.

W walce o położenie szkoły w społeczeństwie i o blizkość polityczne nauczyciela opublikowały „Rheinische Blätter” odezwę. W odezwie tej, napisanej w połowie kwietnia 1848 roku, czytamy:

^{*)} Grammatyka czyni cuda w szkole a katechizm — w kościele. Fragment pracy pt. „Diesterweg i Wiosna Ludów”, która ukazała się w dniach najbliższych naki. Sp. Wyd. „Książka”.

^{**) Engels: „O materializmie historycznym” str. 42, „Książka”.}

„Rewolucja berlińska minęła w chwale. Umilkły grzmoty armat, które z niesłychaną zaciętością zwały ogniem przez piętnaście godzin przeciw ludowi, po bohatersku walczącemu przeciw stułetniemu porządkowi absolutnej, biurokratycznej monarchii wojkowej. Czy jesteśmy jednak gotowi? Czy zdobyliśmy wolność, za którą położy się strumienie krwi? — Znajdujemy się w prowizorium, pełnym obiecań i przyrzeczeń. Zamienić przyrzeczenia w rzeczywistość — oto zadanie wszystkich obywateli. Rewolucja minęła, zaczyna się reforma wszystkich organizacji, a więc także stanu nauczycielskiego. Słowa tej odezwy, pod którą podpisany jest jeden z najruchliwszych działaczy owych czasów Edward Hintze, wskazują, że pomimo trafnej oceny werbalnej wydarzeń marcowych w stolicy i państwie, ocena polityczna była biedna. Wówczas jednak, gdy członki świeża farba drukarska odbijała słowa Edwarda Hintze, mniemano powszechnie, iż istotnie tak jest — że upadła absolutna monarchia, że rozszarpał się stary ustrój, że wobec tego nie trzeba już walczyć, lecz tylko budować i pracować — pokojowo. Odezwa doradza więc nauczycielstwu, aby przystąpiło do obozu reformy i reorganizacji i wzywa do usunięcia dawnych władz szkolnych, które nie mają zaufania do nauczyciela, ale do których oczywiście nauczycielstwo od dawna straciło zaufanie. Powinna nastąpić całkowita i gruntowna reorganizacja szkół zgodnie z nową erą, jaka nastała. Odezwa wzywa do zmiany systemu kształcenia nauczycieli i zmiany stosunków służbowych nauczycielstwa.

Wychodząc z tych „głównych kategorii“ domaga się obóz reformy ustanowienia Ministerstwa Oświaty i oddzielenia go od Ministerstwa Wyznań Religijnych. W ministerstwie tym powinni radzić, urządzać i pracować urzędnicy, którzy by reprezentowali świeckie nauczycielstwo różnych stopni. Inspektorami i wizytatorami szkolnymi winni oddać być nie księża, lecz nauczyciele z doświadczeniem i praktyką pedagogiczną. Szkoła winna podlegać państwu. Szkoła powszechna, średnia i uniwersytet powinny być ze sobą organicznie związane, tworzyć całość bez ślępych ulic, a młodzież, po ukończeniu szkoły ludowej, gdyby chciała wejść w życie praktyczne, winna mieć w dalszym ciągu możliwość kształcenia się. Kształcenie nauczycieli powinno odbywać się na uniwersytetach i dać nauczycielstwu solidną podbudowę zarówno teoretyczną, jak i praktyczną. Aby zostać nauczycielem, należy wykazać się przynajmniej świadectwem dojrzałości, a więc zdobyć wykształcenie na poziomie średnim. Każdy nauczyciel winien zacząć swoją karierę pedagogiczną od szkoły ludowej. Możliwość awansu w sensie hierarchicznym przewiduje się na podstawie uzdolnień i pracowitości, możliwość zaś uzyskania wyższego uposażenia winna być uzależniona od wysługi lat i stopnia przywiązania do zawodu (ciągłości pracy). Nauczyciel ma prawo oczekiwać od państwa emerytury i zabezpieczenia wdowy i sierot po nim.

Oto streszczenie odezwy do nauczycielstwa, kończącej się wyznaniem, że wspólna postawa i zbiorowe wystąpienie mają znaczenie decydujące i mieć będą duży wpływ na formujący się parlament i nowe władze demokratyczne, które nie pozostaną głuche na żądania świata nauczycielskiego. W wyniku tej odezwy szereg zebrań nauczycielskich wystąpiło z konkretnymi propozycjami reformy szkolnej.

W szeregu rezolucji żądał świat nauczycielski rehabilitacji Diesterwega, przywrócenia mu w pełni praw urzędowych, obywatelskich oraz oddania do jego dyspozycji wydziału szkolnictwa ludowego w nowym Ministerstwie Oświaty. Podkreśla się, że Diesterweg położył bardzo wielkie zasługi w sprawie podniesienia szkolnictwa ludowego i zawodu nauczycielskiego.

Na dworze królewskim zapanował niepokój, a w ministerstwie — bezradność.

Wkrótce nadeszła najbardziej nieoczekiwana pomoc. W Norymberdze odbył się zjazd decydujących czynników ze sfery kościelnych, w którym, pod przewodnictwem kardynała, wzięło udział 7 arcybiskupów i 27 biskupów. Rezultatem tego zjazdu był memoriał, którego forma zewnętrzna przypomina tysiące jemu podobnych, albowiem słowa „wolność“, „emancypacja“, „prawo“, powtarzają się w nim równie często jak w rezolucjach uchwalonych na wiecach ludowych i robotniczych. Czołowi reprezentanci Kościoła katolickiego w Niemczech uznali, że „Wiosna Ludów“ nadeszła także i dla nich.

„Gdy burza marcową tego roku — czytamy we wstępie tego memoriału — wstrząsnęła podstawą budowli politycznej Niemiec, wzniezionej na Kongresie Wiedeńskim 1815 r. przez książąt niemieckich i mężów stanu — i mówię ci, pod wpływem wołania o wolność, rozlegającego się na całym obszarze ich Ojczyzny — zmuszeni zostali do złożenia rachunku“ — najwyżsi dostojnicy Kościoła uznali za konieczne, właśnie teraz, zabrać głos we wszystkich najważniejszych sprawach społecznych i politycznych oraz przypomnieć monarchom o stanowisku kleru także w sprawach pedagogicznych. — „Wśród praw kościelnych — czytamy dalej — wyniesiono wysoko boskie prawo nauczania i wychowania. Kościół nigdy nie może wyrzec się świadomości swojej misji: iść i nauczajcie wszystkie narody chrząc je w imię Ojca, Syna i Ducha Świętego i nakazując przestrzegać wszystkiego, co wam przekazałem. Tak samo nie może Kościół wyrzec się wolności spełnienia własnej misji. Można Kościółowi zabrać jego blask i splendor, można zabrać mu wszystko, ale Kościół nigdy nie wyrzeknie się danego mu przez Boga prawa

do nauczania, wychowania i umoralnienia narodów kuli ziemskiej... Historia poświadczy, że Kościół w swej świadomości prawa bożego i boskiej wolności osiągnął najdoskonalsze rezultaty w zakresie nauczania ludzi, wychowania i umoralniania ich we wszystkich gałęziach wiedzy i sztuki, począwszy od cichej szkoły klasztornej i warsztatu rzemieślniczego, a skończywszy na szkolnictwie wyższym i najwspanialszych świątyniach, które zbudowane zostały na fundamencie wszechobejmującego dążenia ducha ludzkiego do celów wyższych. Tego prawa do ludzkości — Kościół nigdy się nie wyrzeknie, chyba, żeby się sam poddał...“.

Tak więc do rewolucyjnego chóru europejskiego na 3 głosy: mieszczan, robotników i chłopów, do potężnego refrenu ich pieśni o wolności, dołączył się głos czwarty, fałszywy, o dźwięku obcym i nie harmonizującym z całością — chociaż tych samych słów używających. Tamci myśleli o postępie i pragnęli odrobić 50 lat opóźnienia rozwoju społecznego — ci myśleli o reakcji i o cofnięciu wskazówki zegara o setki lat, wołali o prawo i wolność do uwsteczniczenia dziejów ludzkości.

Moc wieców i zjazdów pedagogicznych odbywało się podówczas w Niemczech. Wiecowa nauczyciele szkół ludowych, naradzali się nauczyciele szkół średnich, obradowali profesorowie szkół akademickich. Nieodpowiedzialne i hałaśliwe hasła, radykalne broszury, rewolucyjne oświadczenia, lewicowe rezolucje w tysiącach egzemplarzach i odbitkach zalały ówczesny rynek wydawniczy Niemiec.

Spśród tysięcy wieców i zjazdów wybieramy dwie tylko grupy obradujące i bliżej zajmiemy się dwoma tylko ośrodkami: — 1) Prace i uchwały grupy pierwszej łączą się bezpośrednio z osobą Diesterwega i Harkorta i pozostają w ścisłym związku z obradami parlamentu pruskiego; 2) Prace i uchwały grupy drugiej mają charakter szerszy i związane są z ogólnoniemieckim zjazdem w Eisenachu, kontynuowanym następnie przez ogólnoniemiecki kongres pedagogiczny we Frankfurcie w bezpośrednim kontakcie z obradami parlamentu frankfurckiego. Diesterweg wywierał na nie wpływ tylko pośredni, chociaż nie słabszy niż na pierwsze.

1. Rząd pruski pod wpływem atmosfery wrzenia przedstawił obradującym zgromadzeniu projekt ustawy szkolnej wraz z konstytucją.

Projekt ten, choć pisany językiem ogólnikowym, zawiera oczywiście postępowe tendencje. Rząd czynił to pod naporem ulicy. Ustawa przewiduje prawo swobodnego zakładania szkół dla każdego, obowiązkiem państwa i samorządu w udzielaniu środków materialnych i utrzymywaniu szkół ludowych, bezpłatność szkoły ludowej, niezależnienie nadzoru szkolnego (ale nie szkoły) od Kościoła. Wszystkie te, bądź co bądź, postępowe hasła znalazły się w projekcie konstytucji z lipca 1848 r.). Nie zadowolili one jednak Harkorta ni Diesterwega, ani też lewicy zgromadzenia, złożonej z dwudziestu kilku posłów. Uznali oni, że treść tego projektu jest zbyt mgławicowa i ogólnikowa i złożyli wobec tego własny, konkretny i szczegółowo sprecyzowany projekt. Cóż przedstawia tamtemu projektowi radykalna grupa posłów tzw. „przyjaciół szkoły“ z Harkortem

str. 42, rok 1848.

2) Appens, str. 123—124.

3) Porównaj: Ludwik v. Röne: „Das Unterrichts-wesen des Preussischen Staates“, str. 233. Ten obrzłymi, bo 965 stron liczący zbiór ustaw, wydany w 1854 r. jest obszernym źródłem historycznym dla wzmiankowanego okresu historii pedagogiki.

JERZY LAU

WYSTAWA OBRAZÓW

Oko jest bólem
Pablo Picasso,
— z ręką rozmowa
o losie człowieka.
Na Starym Mieście
słońce. Kaktusy ruin.
Jedyny gotyk
Warszawy.

Ziemia gorąca,
ziarna żaru.
Ceglany piasek
Hiszpani —
kamienny ogień
zachowa ich twarze
— zaciśnięte w pięść.
Więc liczy zegar
— cieni martwego komina
biegnący czas
milenia.

Zerwane przeszło Wisły
rdzewieje i krwawi.
gdy dzieci podnoszą
kamienne swe książki
czytając swą krew
malarstwa i zbrodni.
Niech oczy opuszczą
przed płótnem obłudni,
zanim na krew
powiedzą kolor —
a zamiast śmierci:
mis a mort.

Na Montmartrze
wiatr jesienny
w wodzie się luszczę
zielony księżyc —
— to płoń Sekwany

na czele? Co zawierają żądania, sprecyzowane przez Diesterwega? Paragraf 1 stwierdza wręcz:

„Szkoła jest instytucją państwową i od Kościoła niezależną“. Paragraf 2 mówi o tym, że państwo gwarantuje każdemu dziecku taką naukę, która wiedzie do uzyskania wykształcenia ogólnoludzkiego, obywatelskiego i narodowego. Następny paragraf domaga się bezpłatności nauczania na wszystkich stopniach organizacyjnych szkoły. W czwartym zaś powiedziano: „Nauka jest wspólna dla wszystkich wyznań. Ogólną naukę religii można w szkole pozostawić. Wykluczyć zaś naukę religii według wyznań“. Dalsze paragrafy żądają podporządkowania wszystkich instytucji szkolnych i zakładów wychowawczych państwu.

Opublikowany drukiem i rozkolportowany po całym kraju w tysiącach egzemplarzy dokument ten doszedł do rąk wszystkich prawników nauczycieli, a przez nich — do rąk rodziców.

Sformułowania Diesterwega zawarte w tych siedmiu punktach są jasne i, choć on sam zapatrzył je kolejno i starannie we własny dokładny komentarz, dziś, po stu latach, jest rewolucyjna ich treść tak oczywista, że nie zachodzi potrzeba dodatkowego ich omawiania. Jedną tylko sprawą wymaga oświeślenia, mianowicie nauka „ogólnej religii“. Sam Diesterweg zdawał sobie sprawę, że taka „religia“ wiedzie w końcu do nauczania przedmiotu szkolnego, który można by dziś określić ogólnymi zasadami etyki. Taki przedmiot łączy ewangelikę z mahometaninem, zbliża katolika do żyda i prowadzi do zbliżenia protestantów różnych odcienn z wolnomyślicielami, w sumie zaś — ciągle i nieustannie stwarza momenty wychowawcze, wspólne dla wszystkich dzieci, poruszające problemy moralne całej młodzieży i wszystkich rodziców.

Tylko taka religia wpoi w dzieci głęboką wiarę w ludzkość i uniemożliwi raz na zawsze poruszenie w szkole spraw, które dzielą młodzież, wywołują w niej rozdarcie wewnętrzne i zewnętrzne, budzą wzajemną nienawiść i doprowadzają w końcu do nienawiści. Do tychczas tak się składało, że religia była źródłem, które zatrzymało na całe życie dusze młodego pokolenia i nastrojało wrogo do innowierców na wiele, wiele lat, a często nawet do grobowej deski utrzymywało dusze w nienawiści do tak zwanych bliźnich. Zapobiec temu może zniesienie religii w szkole według różnych wyznań, zniesienie zatem szkół wyznaniowych, kościelnych, klasztornych i ustanowienie na ich miejscu świeckich szkół komunalnych i państwowych, nie podlegających ani pośrednio ani bezpośrednio wpływowi żadnego kościoła. (Byłoby oczywiście błędem przemilczeć fakt, że Diesterweg, poza tym ogólnoludzkim humanistycznym stanowiskiem, miał także swoje, zjednoczeniowe — niemieckie powody, które również uzasadniały taką postawę wobec nauczania religii w szkole). Reakcja na to jego stanowisko była bardzo silna i groźna. Pojawiły się artykuły w prasie oraz tajne okólniki, wskazujące, że redaktor „Rheinische Blätter“, kawa ludzka moralność, a z religii uczynił przedmiot zwykły i ordynaryjny (ażebym nie rzec ordynarny), który umożliwia zjednoczenie Żydów z Niemcami, Turków z poganami — o tym wreszcie, że chrześcijaństwo i największa religia znajdują się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wolnomyśliciele i poganie chcą wszystko zniszczyć ogniem i mieczem. Chcą podciąć religię u samych jej korzeni. Artykuły wrogiej prasy uderzyły na alarm, że oto nauczyciele jednych wyznań będą wychowywać dzieci odmiennego wyznania, że po prostu deści, żydzi i neokatolicy zatrąwają w szko-

lach dusze dzieci — czym? — kacerstwem, schizmą, oraz — co gorsza! — stali się oni agitatorami. Porywają nawet ze sobą nie jednego organiste, ministranta i zakrystiana. Diesterweg nie dał się zastraszyć. „Dla nas — pisał — będzie najlepiej nie dać się wprowadzić w pole przez ten pusty, dziki i namiętny krzyk...“). Przestrzega nauczycieli, by nie stchórzyli przed zarzutami, że oto szkoła przemawia w sprawach boskich językiem pogańskim i racjonalistycznym, że o sprawach wiecznych rozprawia językiem codziennym, pełnym niewiary.

Z odpowiedzi, jakie wpłynęły do redakcji, wynikało, że za proponowaną przez Diesterwega reformą wypowiedzieli się masowo i to na piśmie nauczyciele ewangelicy, katolicy, tysiące rodziców, liczne związki robotnicze i zrzeszenia rzemieślników.

Projekt ten spotkał się z gwałtownym sprzeciwem nie tylko berlińskiego zgromadzenia konstytucyjnego, ale też sfer kościelnych. W Nadrenii, Westfalii i zabranym Poznaniu zmobilizowali księża opinię publiczną każąc wszystkim, nawet dzieciom, które tylko ledwie nauczyły się trzymać pióra w palcach, by podpisały „własnoręcznie“ „protest społeczeństwa“ przeciw próbom rozdziału Kościoła od szkoły. Dzięki takiej metodzie mobilizowania „opinii publicznej“ ilość protestów przewyższyła znacznie ilość przesłanych ulotek.⁴⁾

Z ironią wspominał o tym Diesterweg. „Rzecz zrozumiała — pisał — że postowie w zgromadzeniach narodowych nie wiedzą, czy podpisany Niklas Nibelby jest osobą dorosłą, czy dzieckiem. Któż jednak nie przeniknie takich chwytów? Cel uświęca środki — w pewnych znanych kołach przed 18 marca i po nim. Wszystko in maorem dei gloriam dla ochrony „najświętszej religii““.

W sukurs Diesterwegowi i tzw. grupie 24 lewicowych parlamentarzystów przyszli robotnicy, którzy na wiecu berlińskim uchwalili rezolucję składającą się również z 7 punktów zawierających aprobatę postawy Diesterwega.

Cóż zawierają te uchwały świata robotniczego przekazane następnie, pod koniec sierpnia, parlamentowi we Frankfurcie. Oto ich treść dosłowna:

1. Szkoła jest instytucją państwową i od Kościoła niezależną.
2. Szkoła powinna stać się instytucją powszechną, niezależną od wyznań, ani też wyznaniowego nauczania. Religia winna być skreślona z przedmiotów nauczania szkolnego.
3. Przedmioty nauczania powinny być tak dobrane, aby dały możliwość pełnego wykształcenia młodzieży na obywateli świata i państwa.
4. Przedstawiciele duchowieństwa nie mogą być wizytatorami szkolnymi.
5. Nauka w szkole ludowej jest bezpłatna, niezależna od różnych stanowych.
6. Gminy wezmą na siebie obowiązek dostrzeżenia dzieciom, których rodzice pozostawili są środków materialnych, koniecznych książek oraz pomocy naukowych, potrzebnych w szkole.
7. Zabrania się przesadnego luksusu wśród dzieci uczęszczających do szkoły ludowej. Obowiązkiem gmin jest obdarzenie dzieci ubogich odzieżą bezpłatnie — z uwzględnieniem pór roku.

Wice ten wywołał w ówczesnej postępowej prasie bardzo żywe echo. Charakteryzując te rezolucje robotniczego wiecu, czasopisma podkreślały, że widzą w niej ducha humanizmu, którego by nadaremnie szukać u sfer wykształconych i zamożnych. Sfery te chwalały się wprowadzić ciagle swoim humanizmem, ale od dawna już go zagubili. Wychowanie nowej ludzkości znajduje obrońców tylko w nowej klasie społecznej albo dokładniej mówiąc — naprawdę już ich sobie znalazło.

Nie skończyło się jednak na wiecu robotniczym. Bezradny rząd i zaniepokojony król rozglądali się za jakąś poważną ideologiczną pomocą. Istotnie pomoc nadeszła, ale nie od razu. Pioniero bowiem jeszcze dookoła. W grudniu 1848 roku rząd zmuszony był ogłosić wreszcie konstytucję, która zawierała także i ustawę szkolną. Ustawa ta była w swej treści powtórzeniem (w dużym stopniu) projektu Diesterwega. Okazało się wkrótce, że król nie zamierza nigdy ustawy tej wprowadzić w życie. Ta postawa króla dała wkrótce konsystorzowi w Koblencku zachętę i asumpt do wystąpienia. W bardzo zdecydowanej odpowiedzi na projekt Diesterwega określił Kościół ewangelicki swoje stanowisko w sprawach nauczania religii i wychowania religijnego w szkole. Memoriał konsystorza przekazany ministrowi oświaty — w kilkanaście dni po uchwaleniu konstytucji — brzmiał:

- 1) nie ma porządnej szkoły ludowej bez wychowania religijnego i bez nauki religii;
- 2) nie ma nauki religii w sensie ogólnym;
- 3) nawet religia chrześcijańska nie powinna w szkole być potraktowana w sposób ogólny i wspólny dla wszystkich dzieci. Szkoła ludowa musi zostać wyznaniowa i nie jest wskazane, aby pozbawić duchowieństwo kierownictwa nad nią i nadzoru.

Memoriał ten jest doskonałym komentarzem do zamierzeń Diesterwega. Szkoła, gdzie odbywa się ogólna i wspólna nauka religii dla wszystkich dzieci różnych wyznań, jest de facto szkołą bezwyznaniową i wiedzie prostą drogą do świeckiego wychowania młodego pokolenia. Tego istotnie chciał Diesterweg, ale za żadną cenę na to się nie godziły sfery kościelne i dworskie.

(Dalszy ciąg na str. 8).

⁴⁾ „Rheinische Blätter“, tom 38, str. 278, 1848 r.

⁵⁾ Patrz „Rheinische Blätter für Erziehung und Unterricht“ t. 38, str. 268.

¹⁾ patrz: „Rheinische Blätter“, tom 38,

PAWEŁ HERIZ

MUZEUM SZTUKI W ŁODZI



Henryk Rodakowski — „Portret Matki”

Aleksander Gieryski (1849–1901)
„Przed Altaną”Henryk Rodakowski — „Portret Matki”
(fragment)Franz Franken (flamand 1607–1667)
„Madonna z Aniołami”

Muzeum Łódzkie — fragment sali formizmu

NIE BEDAC nigdy dłużej w Łodzi przed wojną, nie widziałem, rzecz prosta, owej galerii sztuki współczesnej, która powstała w tym mieście w najmniej chyba sprzyjających warunkach z daru przekazanego przez grupę awangardowych artystów-plastyków „a. r.”. Galeria ta była włączona do zbioru innych obrazów, powstałego ze zbiorów ofiarowanych miastu przez rodzinę Bartoszewiczów. Zresztą nie chcę tu streszczać historii łódzkiego muzeum sztuki, pragnę tylko zwrócić uwagę na tę kolekcję, której równie co do zakresu nie ma chyba w całym kraju.

Poczynając od sztuki gotyckiej XV wieku, kończąc na eksperymentatorskich próbach neoplastyków-muzeum sztuki mogłoby stanowić nieładną pomoc w dziele upowszechnienia wiedzy o malarstwie, podniesienia ogólnego poziomu wiedzy o sztuce. Ale do tej sprawy postaram się jeszcze powrócić.

Wśród eksponatów szczególnie piękne wydały mi się wczesne tryptyki, gdzie tła są jeszcze malowane złotem. Jest ich kilka, lecz można patrzeć na nie pojąć całą świetność tego malarstwa, które tak było ograniczone formalnie, a tak jednocześnie głęboko wyrażało ludzkie treści.

Drugim skłóci bogatym działem muzeum jest dział malarstwa polskiego XIX wieku. Michałowski, Orłowski, Simmler, Rodakowski Maksymilian, a przede wszystkim Aleksander Gieryski dają nieco inne pojęcie o naszym malarstwie, niż zgromadzone niegdyś w wielkich halach „Zachęty” płótna Matejki, Brandta, Kossaka etc. W dziełach tamtych malarzy, których niełatwo reprezentuje muzeum łódzkie, widać jak europejska, jak zgodna z wielkim nurtem sztuki, była tradycja polskiego malarstwa w wieku XIX. Nic nie świadczy pewnie o tym lepiej niż ten niewielki obraz Alek-

sandra Gieryskiego, przedstawiający brame warszawskiej kamienicy i sklepowe obok niej szyldy, niż konie Orłowskiego czy Michałowskiego, tak niepodobne do koni Matejki czy Kossaka.

Przechodząc do sal następnych, możemy łatwo się zorientować, jak wielką szkodę wyrządziło naszemu malarstwu banalne chłopomanstwo i tradycjonalistyczne widzenie wsi, pejzażu, typów ludowych. Wszystko to przypomina raczej prospekty fałszywego folkloru z jakiejś wystawy galicyjskiej anno domini 1890, niż świat oglądany przez malarza.

Im dalej, tym gorzej. Porównanie dwóch obrazów Jacka Malczewskiego — małego płótna z wczesnego okresu i późniejszej olbrzymiej machiny symbolistycznej dowodzi jasno, ile złego tkwiło w przeniesionej na teren polski kombinacji böcklinowsko-secesyjnej, która połączyła się z fałszywym widzeniem wsi i „bajecznie kolorowym” ludomanstwem. O wiele szlachetniej wyrażają się tendencje secesyjne w liniach rysunku Wyspiańskiego, być może dlatego, że Wyspiański bliższy był niekiedy (w portretach i krajobrazach) Paryżowi niż Wiednia czy Monachium. Po Falaście, Kędzierskim i tytu, tylu innych malarstwo widać znowu w muzeum sztuki w tych salach, gdzie wystawiono dzieła malarzy takich jak Pankiewicz, Boznańska, młodszych od nich o pokolenie kapistów — jak Waliszewski, Potworowski. Wreszcie pięknie są reprezentowane wszystkie nowoczesne, konstruktywistyczne kierunki malarstwa polskiego — kubizm, formizm, nadrealizm.

Wydaje mi się rzeczą pożyteczną, że nie dzielono nowoczesnego malarstwa na poszczególne sale według narodowości malarzy. Odrębności, które pozwalają od razu na odróżnienie szkoły włoskiej, francuskiej czy polskiego malarstwa XIX wieku, w wieku XX prawie że zanikają. Dobrze się stało,

że obok Wyspiańskiego wisi Gauguin, a nieco dalej Van Gogh.

Malarstwo nowoczesne reprezentowane jest przez wiele dzieł oryginalnych (Braque, Picasso, Lurcat, Hans Arp, Czyżewski, i wielu innych). Nie są to wszystkie dzieła jednolitej wartości, ale w sumie te sale muzeum dałyby widzowi niezłe pojęcie o istocie sztuki nowoczesnej.

Piszę to zdanie w trybie warunkowym, a to dlatego, że niestety nie uczyniono dotąd nic, by ten obfity zbiór malarstwa wszystkich krajów i epok został naprawdę udostępniony, by mógł go obejrzeć nie tylko smakosz i znawca dla którego historia malarstwa, szkół, gatunków nie ma żadnych tajemnic, ale widz, który dotąd nie widział nic poza brzydkimi oleodrukami dewocyjnymi lub marnymi „lanszajtami”.

Pierwsza sprawa — to sprawa oryginałów i reprodukcji. Muzeum stanęło na bardzo rozsądnym moim zdaniem stanowisku i obficie wykorzystano, zwłaszcza w dziale malarstwa nowoczesnego, zasadę reprezentowania danego kierunku przez reprodukcje w braku oryginałów. To słuszne stanowisko określa jak gdyby z góry zasadę dla której muzeum zorganizowano. Zasadą tą jest dydaktyzm i chęć zaznajomienia szerokiej publiczności z malarstwem. Jednakże nie towarzyszą tej zasadzie żadne konsekwencje, które według mnie każałyby nie tylko zebrać pewną ilość eksponatów, rozmieścić je odpowiednio, ale przede wszystkim objaśnić je w sposób popularny, a zarazem utrzymany na odpowiednim poziomie.

Brak w muzeum łódzkim orientacyjnych tablic w poszczególnych salach, brak krótkich, encyklopedycznych niemal wyjaśnień, które by mogły towarzyszyć obrazom. Np. sala impresjonistów nasuwa niedoświadczonemu widzowi pierwsze pytania — co to jest impresjonizm, czym różni się od innych kierunków? kiedy i gdzie powstał? etc.

Jeszcze bardziej wymaga takich objaśnień cały dział sztuki nowoczesnej, która przeważnie bywa niezrozumiana nie wskutek złej woli oglądającego, lecz po prostu dlatego, że ów niewtajemniczony widz nie orientuje się w historii rozwoju techniki malarskiej, we wzajemnych wpływach sztuki na życie, a warunków społecznych na sztukę itp.

Nie wiem w jaki sposób można by dokonać w łódzkim muzeum sztuki takiej reformy, która pozwoliłaby przeciętnemu widzowi na racjonalne wykorzystanie tego świetnego i bogatego zbioru obrazów. Ale wydaje mi się, że reformy takiej należy dokonać.

Koneserom i znawcom nic nie przeszkadza tablice i objaśnione hasła, przeważającą ilość zwiedzających z pewnością pomogą.

Słuszne by również było dokładniejsze określanie poszczególnych płócien — czy to kopia, czy replika. Nie należałoby się również wstydić i ukrywać, iż wiele eksponatów to nie oryginały, lecz reprodukcje. Widz oglądając zawieszane obok siebie obrazy i reprodukcje będzie mógł wtedy zorientować się w wartości dzieła wykonanego ręką ludzką i w tym, że najświetniejsza technicznie reprodukcja nie może zastąpić oryginału. Myślę, że sprawa muzeum łódzkiego nie należy tylko do muzeologów i plastyków. W interesie nas wszystkich — pisarzy, muzyków, ludzi teatru i nauki — a także w ścisłym związku z instytucjami oświatowymi należy dbać o to, by tak świetna placówka kultury artystycznej — jaka jest galeria malarstwa w Łodzi, mogła nieustannie się rozwijać i jednocześnie wykonywać swoje najważniejsze zadanie, które polega na propagandzie prawdziwej, wielkiej sztuki wśród najszerszych warstw ludności tego miasta, gdzie dobre obrazy, dobra muzyka, dobry teatr są może bardziej potrzebne niż gdziekolwiek.

Paweł Hertiz

MIAŁIŚMY właśnie Gisors, gdy ocknąłem się nasłuchując, jakie miasto zabrzmiało w okrzykach kolejarzy. Zabrałem się już do ponownej drzemki, gdy potworny wstrząs zwałił mnie na siedzącą po drugiej stronie grubą damę.

Urwało się jedno z kół u lokomotywy, która legła na skutek tego wpoprzek toru. Tender i wagon bagażowy również wyskoczyły z szyn i leżały obok umierającej, a ta charczała, stękała, świstała, dygotała i pluła, podobna w tym do upadłych na ulicy koni, gdy robią bokami, gdy pierś im drga, nozdrza dymią i całe ciało dygocze, ale zdają się już być niezdolne do najmniejszego wysiłku, dzięki któremu mogłyby się podnieść i ruszyć dalej.

Nie było ani zabitych ani rannych. Doliczono się zaledwie kilku osób potłuczonych, pociąg bowiem nie zdążył jeszcze nabrać pędu. Spoglądaliśmy zasmuceni na okaleczoną wielką bestię z żelaza, która już nie była w stanie nas unieść i prawdopodobnie na długo tarasowała drogę, gdyż zachodziła niewątpliwa konieczność zawezwania pociągu ratowniczego z Paryża.

Była tymczasem godzina dziesiąta rano, postanowiłem więc niezwłocznie udać się do Gisors na śniadanie.

Idąc ku miastu, mówiłem do siebie: „Gisors, Gisors, ależ ja tu kogoś znam. Gisors? Przecież ja mam przyjaciela w tym mieście!” Nazwisko błysnęło mi nagle w pamięci: „Albert Marambot”. Był to dawny kolega szkolny, którego nie widziałem od lat co najmniej dziesięciu, a który wykonywał w Gisors zawód lekarza. Zapraszał mnie powielekroć listownie, a ja zawsze obiecywałem przyjechać, ale nigdy nie dotrzymałem obietnicy. Tym razem skorzystam wreszcie ze sposobności.

Pytam pierwszego z brzegu przechodnia: „Czy nie wie pan, gdzie mieszka pan doktor Marambot?” Odpowiada bez wahania przeciągłym akcentem normandzkim: „Przy ulicy Delfiny”. I rzeczywiście spostrzegłem na drzwiach wskazanego mi domu dużą miedzianą tabliczkę z wrytym nazwiskiem mego dawnego kolegi. Zadzwoniłem. Służąca, rudowłosa i niemrawo poruszająca się dziewczucha, wyrzekała parokrotnie głupkowato: „Nima go, nima go”.

Słyszac szczeł widelców i szklą, krzyknąłem: „Hej, Marambot!” Otworzyli się któreś drzwi i ukazał się w nich gruby mężczyzna z faworytami. Trzymał w ręku serwetkę i minę miał niezadowoloną.

Na pewno bym go nie poznał. Można mu było dać co najmniej czterdzieści pięć lat. W jednej chwili stał się przede mną ciężki, otepiał i postarzał życie prowincji. Jednym rzutem myśli, szybszym niż wyciągnięcie doń ręki, rozpoznałem jego egzystencję, jego sposób bycia, rodzaj jego umysłu i poglądów na świat. Odgadłem długie spoczynki, które zakrążyły mu brzuch, poobiednie drzemki w drewnianej ciężkiej i zakrapionej koniakami trawienia oraz rozproszone spojrzenia rzucane chorą w chwili, gdy myśl zaprzętną jest pieczoną kurą, którą właśnie obracają nad ogniem. Ledwie zdążyłem spostrzec utuczona rumianość jego policzków, ociepiałność warg i przyćmiony blask oczu, a już w mojej wyobraźni zabrzmiły rozmowy o kuchni, cydrze, wódkach i winie, o sposobach przyrządzania pewnych potraw i o zawieszistości pewnych sosów.

— Nie poznajesz mnie? — zapytałem. — Jestem Raul Aubertin.

Otworzył ramiona i o mało mnie nie udusił, a pierwsze zdanie, jakie wypowiedział, było takie:

— Ty jesteś chyba bez śniadania?

— Tak.

— Świetnie się składa! Siadam właśnie do stołu i mam wyśmienitego pstrąga.

W pięć minut później siedziałem na przeciw doktora przy śniadaniu.

— Pozostałeś kawalerem? — zapytałem.

— Zaisie!

— I miło tu spędzasz czas?

— Nie nudzę się, jestem zajęty. Mam chorych, przyjaciół. Jem dobrze, mam się dobrze, lubię śmiech i polowanie. Jakoś idzie.

— Ale czy w tym miasteczku życie nie jest zbyt monotonne?

— Gdy sobie ktoś potrafi znaleźć zajęcie, to nie, mój drogi. Ostatecznie małe miasto jest takie samo jak duże. Wydarzenia i przyjemność są tu co prawda mniej urozmaicone, ale przywiązuję się do nich większą wagę. Stosunki nie są tak rozległe, ale spotykamy się częściej. Gdy znasz wszystkie okna na danej ulicy, każde z nich ramuje cię i intryguje silniej, niż cała ulica w Paryżu.

Bardzo przyjemne jest małe miasto, powiadam ci, że bardzo przyjemne, bardzo przyjemne. Chociażby Gisors! Od urodzenia aż po dzień dzisiejszy zdążyłem je

GUY DE MAUPASSANT

CNOTLIWIEC

poznać jak własną kieszeń. Nie masz pojęcia, jaka ciekawa jest jego historia!

— Pochodzisz z Gisors?

— Ja? Nie. Jestem z Gournay, miasta sąsiadującego i rywalizującego z Gisors. Gournay wobec Gisors jest tym, czym był Lukullus wobec Cyserona. Tu wszystko jest dla sławy: mówi się o „pyszalkach z Gisors”. W Gournay wszystko jest dla żołądka: mówi się o „żarłokach” z Gournay. Miasto Gisors pogardza miastem Gournay, ale miasto Gournay śmieje się z miasta Gisors. To bardzo zabawna okolica.

Spostrzegłem się, że jadłem coś rzeczywiście wyborowego: ugotowane do ścięcia się jajka w powłoce z mięsnej galarety, zaprawionej wonnymi ziołami i lekko zamrożonej.

Chcę pochlebić Marambotowi, powiedziałem młaskając językiem:

— Dobre to jest.

Uśmiechnął się.

— Dwie rzeczy — odrzekł — są do tego niezbędne: tak trudna do zrobienia dobra galareta i dobre jajka. O, bo dobre jajka z ółtkiem rozkosznie czerwonym są bardzo rzadkie! Co do mnie, to mam dwa podwórze: jedno dla kur nośnych, a drugie dla drobiu tucznych. Kury nośne karmię w specjalny sposób. Mam swoje pomysły! W jajku, tak samo jak w mięsie kurczęcia, barana, w mleku, słowem we wszystkim, człowiek zastaje kwintesencję wszystkich uprzednich pokarmów zwierzęcych i powinien się ich dosmakować. O ilej lepiej można by jeść, gdyby się więcej zajmowano tymi sprawami!

Rozesiałem się.

— Jesteś więc łakomczuchem?

— Zaisie! Tylko głupcy nie są łakomczuchami. Jest się łakomczuchem tak jak się jest artystą, jak się jest erudytą, jak się jest poetą. Smak, mój drogi, to narząd delikatny, dający się udoskonalać, a czci godny tak samo jak oko lub ucho. Brak smaku jest brakiem pewnej wykwiśniętej zdolności, zdolności rozróżniania jakości pokarmów, tak samo jak można być pozbawionym zmysłu rozpoznawania jakości książek lub dzieł sztuki. Równa się to brakowi zmysłu najistotniejszego, brakowi jakiejś części ludzkiej wyższości. Równa się to przynależności do nieprzeliczoności tłumu ludzi ułomnych, upośledzonych i głupich, którzy składają się na naszą rasę. Równa się to posiadaniu grubego podniebienia, tak samo jak można mieć grubą umysł. Człowieka, który nie odróżnia langusty od homara, od śledzia (tej cudownej ryby, która nosi w sobie wszystkie smaki i wszystkie aromaty morza), od makreli lub od sielawy, a gruszkę małgorzatkę od diuszesy, można porównać z kimś, kto by mieszał Balzaka z Eugeniuszem Sue, symfonie Beethovena z marszem wojskowym, napisanym przez kapelmistrza pułkowego, a Apollona Belwederskiego ze statua generała de Blanmont!

— Któż to jest generał de Blanmont?

— Ach, prawda! Ty tego nie wiesz. Od razu widać, że nie jesteś z Gisors! Na samym początku powiedziałem ci, mój drogi, że mieszkańców tego miasta nazwano „pyszalkami z Gisors”, a nigdy przydomek nie był bardziej zasłużony. Ale zjedźmy najpierw śniadanie. Opowiem ci o naszym mieście, gdy cię po nim oprowadzę.

Przerzywał sobie od czasu do czasu, aby wypić z wolna dobre pół kieliszka wina, a odstawiwszy naczynie na stół, spoglądał na nie z tkliwością.

Serwetkę miał zawiązaną na szyi, na kościach policzkowych ukazały się czerwone plamki, a w oczach podniecenie, faworyty zaś rozkwitały wokoło jego zajętych prac ust. Pociętnie z tym wyglądał.

Kazał mi jeść aż do obrzydzenia. Gdy już chciałem powrócić na dworzec, chwycił mnie pod ramię i ciągnął za sobą po ulicach.

Nad miastem, przedstawiającym sobą piękny okaz prowincji, góruje warownia, jeden z najciekawszych we Francji pomników architektury wojennej VII stulecia. Samo miasto góruje z kolei nad długą i zieloną doliną, gdzie ciężkie krowy normandzkie skubią trawę i przeżuwiają na pastwiskach.

Doktor powiedział:

— Gisors, miasto o czterech tysiącach mieszkańców, położone na kresach departamentu Eure, wzmiankowane już przez Cezara w jego „Pamiętnikach”: Caesariostium, następnie Caesartium, Caesortium, Gisortium, Gisors. Nie poprowadzę cię chyba do obozowiska legionów rzymskich, którego ślady można jeszcze rozróżnić.

Odrzekłem z uśmiechem:

— Mój drogi, wydaje mi się, że jesteś dotknięty chorobą specjalnego rodzaju, którą jako lekarz powinien być przestudiować, a która nosi nazwę parafian-szczyzny.

Z miejsca przystanął.

— Parafianszczyzna, przyjacielu, jest najczystszy patriotyzm. Kocham swój dom, swe miasto, a w szerszym tego słowa pojęciu swą prowincję, ponieważ znajduję tu również obyczaje mojej miejsciny. A jeśli kocham granice, jeśli ich bronie, jeśli gniewam się, gdy sąsiad postawi na nich swą stopę czynię to dlatego, że czuję się wtedy zagrożony już we własnym domu, bo granica, której nie znam, jest drogą do mej prowincji. Weź na przykład mnie: jestem Normandem, prawdziwym Normandem. A więc, pomimo niechęci do Niemców i żądy odwetu nie czuję do nich odrazy. Nie żywię do nich nienawiści tak instynktownej jak do Anglików, wrogów rzeczywistych, wrogów dziedzicznych, wrogów naturalnych Normanda, ponieważ Anglicy nachodzili tę ziemię zamieszkałą przez moich dziadów, plądrowali ją i pustoszyli ze dwadzieścia razy, a wstręt do tego zdradzieckiego narodu został mi przekazany razem z życiem przez mego ojca. Spójrz! Oto posąg generała.

— Jakiego generała?

— Generała de Blanmont! Ten posąg był nam potrzebny. Nie na darmo jesteśmy pyszałkami z Gisors! Z tego powodu odkryliśmy generała de Blanmont. Spójrzno na tę wystawę księgarską.

Pociągnął mnie ku wystawie, gdzie wabiło wzrok kilkanaście tomów żółtych, czerwonych i niebieskich.

Gdy odczytywał tytuły, porwał mnie szalony śmiech. Były następujące:

„Gisors, jego powstanie i przyszłość” przez M. X..., członka wielu towarzystw naukowych;

„Historia miasta Gisors” przez księdza A...;

„Gisors od czasów Cezara aż do naszych dni” przez M. B..., obywatela ziemskiego; „Gisors i jego okolice” przez doktora C. D...;

„Chlubny Gisors”, napisał badacz...

— Nie mija, mój drogi — podjął Marambot — ani jeden rok — mówię ci, że ani jeden rok! — aby nie ukazała się nowa historia Gisors. Mam ich już dwadzieścia trzy.

— A chlubny Gisors? — zapytałem.

— O, nie będę ci mówił o wszystkich! Opowiem ci tylko o głównych. Najpierw więc mieliśmy generała de Blanmont, potem zaś barona Davillier, słynnego znawcę ceramiki, który zbadał Hiszpanię i Baleary i odkrył dla odnośnych zbieraczy cudowne fajansy hiszpańsko - arabskie. W dziedzinie literatury — zmarły w tych dniach Charles Brainne, wielce zasłużony dziennikarz. Spośród żyjących — Charles Lapierre, nader znakomity redaktor „Nowinkarza z Rouen”... I jeszcze wielu, wielu innych...

Szliśmy długą i lekko nachyloną ulicą, nagraną z końca w koniec czerwcowym słońcem, które wyciągało ludzi z domów.

Nagle na drugim końcu tej ulicy ukazał się pijany i zataczający się człowiek.

Z głową wysuniętą naprzód i z rozhuśtanymi rękoma zbliżał się na osłabłych nogach fazami po trzy, sześć lub dziesięć gwałtownych kroków, po których za każdym razem odpoczywał. Gdy krótki i energiczny zryw zawiódł go na środek ulicy, zatrzymał się w miejscu i huśtał się na nogach, niepewności pomiędzy upadkiem, a nowym przypięciem energii. Wreszcie ruszył, nie wybierając kierunku. I wtedy natrafił na dom, do którego przylgnął tak, jak gdyby chciał wejść poprzez ścianę do wnętrza. Następnie odwrócił się jednym zamachem i spoglądał przed siebie z otwartymi ustami i oczyma przymrzonymi pod słońce, aż wreszcie odbiwszy się ledźwiami i oderwawszy w ten sposób od ściany ruszył w dalszą drogę.

SEWERYN POLLAK

W I E R S Z E

I. TRACKA DOLINA

W Trackiej dolinie, na szosie pod Pazardzikiem ujrzałem na słupie milowym napis: Do Turcji 102 kilometry.

Góry Rodopskie świeciły i słońce prażyło nieznosnie, winnice w tyralierze wspiwały się po zboczu, a długorogie bawoły ciągnęły ładowne wozy, unosząc do góry głowy.

Myslałem: oto jest ziemia, po której błądziła historia, tutaj pod grudką gliny drachma z obliczem Jazona przeorywana była przez plugi trzydziestu pokoleń, zraszana deszczem, i krwią, i moczem bawołów, którym użyłniał rolę. chłop tracki, turecki, bułgarski, ten, na którego ramionach wspierały swoją potęgę hordy, ehanaty i carstwa.

Patrzałem na drogę do Turcji — tam dalej, nad morzem Egejskim, którego blask się odbijał od gór i padał na winnice, w tej chwili grecki chłop walczył o wolność orania, o sprawiedliwość orania, walczył o pracę trzydziestu pokoleń i zraszał swoją krwią popioły spalonych winnic.

Pod Missolunghi, gdzie zginął poeta narodu, który dziś chłopu greckiemu nie daje orać swobodnie, pod Missolunghi, gdzie zginął poeta, co kochał poezję, wino i wolność, pod Missolunghi, w walce dojrzewa dziś ziemia pod pracą nowych trzydziestu pokoleń.

Wolność jest w słońcu i w winie, wolność jest w pracy i w krwi, wolnością zamyka się krag walki wciąż nowych pokoleń.

Krew wolnych, co w walce spłynie, przyszłe użyżnia dni, a wiatr, co z górskich przytopywa łak, chwałę i czułość przyszłości odważnym składa na czoło.

II. TRACKI GROBOWIEC

Od dwudziestu dwu wieków w sklepionej kopulce siedzi płacząca żona nad umarłym mężem i jednym gestem zalamuje dlonie, a szata jej brązowo-złota, gdy dochodziło do niej słońce, po dzień dzisiejszy zachowała jasność tamtego dnia, kiedy okryto ją ziemią pożegnania.

PANI HUSSON

Przełożył ADOLF SOWIŃSKI

Żółty piesek, niedożywiony kundelek, biegł za nim ujadając i zatrzymując się, gdy on się zatrzymał, a ruszając z miejsca, gdy i on ruszał naprzód.

— Patrz! — powiedział Marambot. — Idzie cnotliwiec pani Husson.

Spytałem pełen zdumienia:
— Cnotliwiec pani Husson? Co chcesz przez to powiedzieć?

Lekarz począł się śmiać.
— To tutejsza nazwa dla pijaków. Wywodzi się ze starej historii, która przeszła już w legendę, chociaż jest prawdziwa od początku do końca.

— Czy to zabawna historia?
— Bardzo zabawna!
— No to opowiedz ją.
— Bardzo chętnie. Żył ongi w tym

mieście pewna stara dama, sama bardzo cnotliwa i protektorka cnot. Nazywała się pani Husson. Wiedzą, że wymieniam ci nazwiska prawdziwe, a nie fantastyczne. Pani Husson poświęcała się szczególnie dziełom dobroczynnym, pomaganiu ubogim i dodawaniu otuchy zasłużonym. Mała, dreptająca, przyozdobiona peruką z czarnej szczeciny, uroczysta, obyczajna i w dobrych stosunkach z Panem Bogiem, reprezentowanym przez księdza Malou, odznaczała się głęboką odrzą, odrzą wrodzoną do występku, a w szczególności do występku, nazywanego przez Kościół lubieżnym. Każda ciotka przedślubna wprowadzała ją z równowagi i irytowała do tego stopnia, że przestawała panować nad sobą.

Było to w epoce, gdy wieńczono wiejskie dziewczęce z okolic Paryża, więc pani Husson wpadła na pomysł, aby uwieńczyć dziewczę z Gisors.

Zwierzyła się z tym księdzu Malou, który ułożył natychmiast listę kandydatek.

Ale pani Husson miała służącą, starą służącą imieniem Franciszka, tak samo nieużytą jak jej pryncypalka.

Zaledwie tedy kapłan wyszedł, pani

domu zawołała swą służącą i rzekła do niej:

— Tu są, Franciszko, dziewczyny, które ksiądz proboszcz proponuje do nagrody za cnotę. Postaraj się dowiedzieć, co też mówią o nich naokoło.

Franciszka zabrała się do dzieła. Gro-madziła wszelkie plotki i opowieści, wszelką ludzką obmowę i wszelkie podejrzenia. Aby niczego nie zapomnieć, spisywała to razem z wydatkami na kuchennej książce rachunkowej i co rano przedkładała pani Husson, która potrafiła czytać dopiero po założeniu okularów na swój malutki nosek. A więc

chleb	cztery sous
mleko	dwa sous
masło	osiem sous

Malwina Levesque puściła się zeszłego roku z Marcinem Poilu.

Udo baranie . . . dwadzieścia pięć sous
sól . . . jeden sous

Rozalię Vatinel spotkała w lesie Ribou-det z Cezarem Piénoir pani Onésime, prasowaczka, dwudziestego lipca szarówką.

Rzodkiewki	jeden sous
ocet	dwa sous
sól potasowa	dwa sous

Józefina Durdent, o której nie mówią, żeby się dała uwieść, pomimo że pisuje listy do młodego Oportuna, który służy w wojsku w Rouen i przysłał jej dyliżansem czepek w podarunku.

Ani jedna z dziewcząt nie wyszła cało spod tego skrupulatnego śledztwa. Franciszka wypytowała wszystkich — sąsiadów, sklepikarzy, nauczycieli, zakonnicze ze szkoły — i zbierała najdrobniejsze pogłoski.

Ponieważ nie ma na świecie ani jednej dziewczyny, której by kumoszki nie brały na języki, przeto i w tej miejscowości nie znaleziono ani jednej młodej osoby, która by się przed obmową uchroniła.

Tymczasem pani Husson pragnęła, aby dziewczę z Gisors była na podobieństwo żony Cezara wolna od wszelkich podejrzeń, doznawała więc pomieszania uczuć strapienia i rozpacz nad notatnikiem kuchennym swojej służącej.

Rozszerzono krąg poszukiwań na okoliczne wioski. Wynik był ujemny.

Zapytano o radę mera, ale i jego protegowane nie wytrzymały odpowiedniej próby. Nie większego również powodzenia — pomimo ścisłych gwarancji naukowych — doznały protegowane doktora Barbesol.

Aż tu pewnego poranku Franciszka, powróciwszy z obchodu, rzekła do swej pani: — Proszę pani, jeżeli pani chce kogośkolwiek uwieńczyć, to tylko Izidor nadaje się do tego w całej okolicy.

Pani Husson popadła w zadumę.

Znała go dobrze, tego Izidora, syna owocarki Wirginii. Jego przysłowiowa czystość była w Gisors już od kilku lat, przedmiotem powszechnej uciechy, służyła za temat żartobliwych rozmów w mieście i ku rozrywce dziewcząt, które dokuczały mu z pustoty. Już przeszło dwudziestoletni, wysoki, niezgrabny, powolny i bojaźliwy pomagał swej matce w sklepie i siedząc na krześle u wejścia spędzał całe dni na oczyszczaniu owoców lub jarzyn.

Istniał w nim chorobliwy strach przed spódniczkami, toteż spuszczał w tej samej chwili oczy, gdy któraś z klientek spojrziała nań z uśmiechem. Ta właśnie bojaźliwość wydała go na pośmiewisko wszystkim figlarzom miejscowym.

Przy śmielszych słowach, rubasznosciach i nieprzyzwoitych aluzjach czerwienił się tak szybko, że doktor Barbesol nazwał go z tego powodu termometrem wstydu. Był prawdziwie czy tylko na pozór niewinny? Takie pytanie zadawali sobie złośliwi sąsiedzi. Czy to, co tak silnie poruszało syna owocarki Wirginii, było prostym przecuciem tajemnic nieznanymi a wstydlivymi, czy też świadomym oburzeniem na niskie zbliżenia cielesne, które wiedzie za sobą miłość? Przebiegając przed sklepikiem miejscowi ulicznicy ryczeli na całe gardło sprośności, aby urzecz, jak Izidor spuszcza oczy. Dziewczęta dla rozrywki przechadzały się tam i na powrót, mówiąc rzeczy tak swawolne, że Izidor cofał się w głąb sklepu. Najzuchwalsze dla śmiechu i zabawy prowokowały go otwarcie, wyznaczając mu schadzki i proponując rzeczy bezecne.

Dlatego pani Husson popadła w zadumę. To prawda, Izidor stanowił sobą wypadek cnoty wyjątkowej, powszechnie uznanej i bezspornej. Nikt spośród największych sceptyków, najzagorzalszych nawet niedowiarów nie mógłby i nie śmiałyby podejrzewać go o pogwałcenie najmniejszej z zasad moralności. Nie widywano go nigdy w kawiarni, nie spotykano go także wieczorami na ulicy. Kładł się spać o ósmej wieczorem, a wstawał o czwartej rano. To była doskonałość, to była perła.

Jednakże pani Husson trwała nadal w nastroju niepewności. Pomysł zastąpienia dziewczę cnotliwcem krył w sobie niejasności i niepokoił ją po trochu. Postanowiła tedy zapytać o radę księdza Malou. Ksiądz Malou odpowiedział:

— I cóż szanowna pani pragnie nagrodzić? Cnotę i tylko cnotę. Nieprawdaż? Cóż to za różnica, czy cnota jest męska czy żeńska? Cnota jest wieczna, cnota nie ma ani ojczyzny ani pici. Ona jest Cnotą.

Zachęcona tym pani Husson udała się do mera.

Ten pochwalił wszystko od początku do końca.

— Urządzimy piękną uroczystość — powiedział. — A jeśli znajdziemy dziewczynę tak samo godną jak Izidor, uwieńczymy następnego roku dziewczynę. Ten piękny przykład damy miastu Nanterre. Nie stosujemy wyłączeń. Cieszymy się każdą zasługą.

Gdy zanieślono wiadomość Izidorowi, zaczerwienił się potężnie i zdawał się być zadowolony.

Uwieńczenie wyznaczono na dzień 15 sierpnia, święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i cesarza Napoleona.

Władze miejskie postanowiły nadać uroczystości wspaniałe ramy, ustawiono więc trybunę na polach parad rycerskich, uroczym przedłużeniu wałów starej warowni, dokąd cię zaraz poprowadzę.

*) Z przygotowywanego do druku przez Spółdzielnię Wydawniczą „Książka” wzbudziła nowel Maupassanta w nowym przekładzie.

Nastąpił naturalny przewrót w umysłach mieszkańców i wyszydzana jeszcze wczoraj cnota Izidora stała się nagle przedmiotem szacunku i zazdrości, skoro miała mu przynieść pięćset franków i książeczkę kasy oszczędności, a ponadto olbrzymie poważanie i pokupną sławę. Dziewczęta żalowały teraz swej płochości swych śmieszek i swywolnego obchodzenia się z Izidorem. A on, aczkolwiek zawsze skromny i lękliwy, przybrał wyraz niejakiego zadowolenia, które świadczyło o jego wewnętrznej radości.

Już w wigilię dnia 15 sierpnia cała ulica Delfiny była przystrojona flagami. Aha, zapomniałem ci opowiedzieć o wydarzeniu, które stało się powodem nazwania tego szlaku ulicą Delfiny.

Jak się zdaje, Delfinę (nie wiem sam, która to właściwie z następnych tronów była) w czasie zwiedzania Gisors przedstawiciele miejscowych władz męczyli tak długo, że wśród tryumfalnego przejazdu przez miasto zatrzymała orszak przed którymś z domów na tej ulicy i wykrzyknęła:

— Ach! Co za piękna siedziba! Jakże bym chciała ją obejrzeć! Do kogo ona należy?

Wymieniono jej nazwisko właściciela i rozejrzano się za nim samym, a znalazłszy przyprowadzonego zmieszanego i dumnego przed oblicze księżniczki.

Ta wysiadła z powozu, weszła do domu, domagała się, aby jej pokazano wszystko od góry do dołu i zamknęła się sama na kilka chwil w jednym z pokoiów.

Gdy ukazała się na powrót, lud, mile poftechtany zaszczytem, którego dostąpił, jeden z obywateli Gisors, zawył: „Niech żyje Delfina!” Jednakże jakiś kpiarz ułożył rymowaną piosenkę i ulica otrzymała imię jej królewskiej wysokości, ponieważ

księżniczkę bieda przypiliła, więc bez asysty, bicia w dzwony i księdza kropła wody świętej ten szlak ochrzciła.

Ale powracam do Izidora.

Rzucano kwiaty wzdłuż drogi pochodu, jak to się czyni przy procesjach na Boże Ciało, a Gwardia Narodowa postępowala pieszko pod rozkazami swego dowódcy, komendanta Desbarres, krzepkiego starca z Wielkiej Armii, który oprócz kasety z orderem honorowym, nadanym mu osobiście przez samego cesarza, z dumą lubił pokazywać broń kozacką, odciętą własnoręcznie jednym ciosem szabli od podbródka jej właściciela podczas odwrotu z Rosji.

Oddział, którym komenderował, był zresztą oddziałem doborowym, słynącym na całą okolicę. Kompania grenadierów z Gisors była wzywana na wszystkie pamiętne uroczystości w promieniu od piętnastu do dwudziestu mil. Opowiadała, że król Ludwik Filip, dokonując przeglądu oddziałów milicyjnych departamentu Eure, w podziwieniu zatrzymał się przed kompanią z Gisors i zawołał:

— O! Skąd są ci piękni grenadierzy?
— Są z Gisors — odpowiedział generał.
— Powiniennem się być tego domyśleć — rzekł z cicha król.

Komendant Desbarres przybył więc ze swymi ludźmi, z orkiestrą na czele, aby zabrać Izidora ze sklepiu jego matki.

Po odegraniu krótkiego utworu muzycznego pod oknami, na progu ukazał się Cnotliwiec we własnej osobie.

Był odziany od stóp do głów w białe dreluchy, a na głowie miał słomiany kapelusz, na którym zamiast kokardy widniał bukiet pomarańczowych kwiatów.

Sprawa ubioru wielce niepokoiła panią Husson. Długo wahała się pomiędzy czarną kurtką pierwszych komunikantów, a garniturem zupełnie białym. To Franciszka, jej doradczyni, rozstrzygnęła sprawę na rzecz ubrania białego, aby wszyscy mogli stwierdzić, że Cnotliwiec ma wygląd labędziny.

Po nim ukazała się jego protektorka i patronka: tryumfująca pani Husson. Przyjęła ramię Cnotliwca, a mer zajął miejsce po jego drugiej stronie. Komendant Desbarres wydał rozkaz: „Prezentuj broń!” Wśród niezmiernego zbiegowiska ludu, przybyłego ze wszystkich gmin okolicznych, pochód ruszył ku kościołowi.

Po krótkiej mszy świętej i wzruszającym kazaniu, wygłoszonym przez księdza Malou, udano się ku polom parad rycerskich, gdzie pod namiotem wszystko już było przygotowane do biesiady.

Zanim obecni zasiedli do stołu, mer zabrał głos. Oto dosłowne brzmienie jego mowy. Nauczyłem się jej na pamięć, ponieważ jest piękna.

— Młodzieńcze! Dobroczynna, ukochana przez biednych i poważana przez bogatych pani Husson powzięła myśl, za którą cała okolica dziękuje jej tutaj moimi ustami, powzięła myśl zbawienną ufundowania w tym mieście nagrody za cnotę, mającą

TRACKIE

Ona została świadectwem
niezniszczalności myśli i uczuć,
ona dotąd płacze,
tak, jak płakała niegdyś, gdy umierał,
przez dwadzieścia dwa wieki pogrzebana w cieniu
swej rozpacz pod ciasną kopułką grobowca.

Dzień dzisiejszy
wziął blask swój od dni tamtych.
Słońce swym promieniem
otaczało wciąż ziemię w nieprzerwanym blasku,
nocami gwiazdom światła swego używając.

A pokolenia i państwa rodziły się i marły
i nie pozostał ślad z nich, a tu, w tej kopulce
przez dwadzieścia dwa wieki rozpaczala żona,
dłoń załamując gestem niezmiennym a pięknym.

Cóż innego przechowa nasze uczucia i myśli,
nasze wysiłki i walki — jeżeli nie sztuka.
Być może za dwadzieścia dwa wieki przechodzień,
kiedy odnajdzie świadectwo naszej trudnej epoki,
odłamek fresku z wyobrażeniem robotnika
przy maszynie, z oliwiarką w rękę,
albo dziewczyny orzącej traktorem szerokie pole,
albo górnika drążącego korytarz w pokładzie węgla,
tkaczki pochylonej nad fabrycznymi krosnami,
albo żołnierza na szczyście zdobytego miasta,
żołnierza, który pozdrawia wyzwolonych,
kiedy odnajdzie strzęp wiersza na zmurszałej karcie,
lub urywek powieści o ludziach i o ich trudach,
być może ten przechodzień zazna uczucia człowieka,
co spotkał przyjaciela.

III. SREBRNA MASKA

Srebrna maska uśmiecha się za szkłem w gablocie,
srebrna maska zachowała umarłą mądrość człowieka,
który ją nosił w chwilach uroczystych,
gdy występował przed ludem
i musiał być wobec ludu
uciesznieniem wszechwiedzy, dobroci i innych cnot władcy.

Pozostał jej do dzisiaj
spokojny uśmiech wybaczenia,
uśmiech miłości i wiedzy,
zdobyty poprzez wiele dotkliwych doświadczeń.

Człowiek, co nosił tę maskę, ukradł uśmiech ludowi,
oszustwem posiadał mądrość, która nas dziś nie zadziwia —
mądrość życia w historii i wyrastania z historii.

Dzieje zamierzełte gablocie, sennemu szkłu powierzysz,
gdy dzień dzisiejszy tworzymy, niech każdy weźmie ten uśmiech.
Srebro maski nie skryje czoła naszego i ust,
nas, cośmy więcej poznali — przeszłości pustynie historii,
spadkobiercy pokoleń, które miały błądząc.

Srebro maski nie skryje i naszych wahań i błędów,
nie malowane to dzieje, w historii będziemy prosić,
nie zapytamy nikogo: kądże wiedzie jej droga? —
kiedy nasz uśmiech i maski jednaki wobec przyszłości.

być drogocennym przykładem dla mieszkańców tej pięknej krainy.

Jesteś, młodzieńcze, pierwszym z królów nadchodzącej dynastii ludzi cnotliwych i czystych. Imię twoje pozostanie na czele listy najbardziej zasłużonych. Trzeba tedy, aby twoje życie — zrozum to dobrze! — aby całe twoje życie odpowiadało temu radosnemu początkowi. Bo dziś w obliczu tej szlachetnej pani, która wynagradza cię za twoje dobre życie, w obliczu obywateli-żołnierzy, którzy chwycili za broń ku twojej chwale, w obliczu wzruszonej ludności, która zgromadziła się, aby wznieść na twą cześć okrzyk pochwalny, albo raczej okrzykiem pochwalnym uczcić w twojej osobie Cnotę samą, zaciągasz uroczyste zobowiązanie wobec miasta, wobec nas wszystkich, że aż do śmierci będziesz świecił wspaniałym przykładem dla naszej młodzieży.

Nie zapominaj, młodzieńcze, że jesteś pierwszym ziarnkiem rzuconym na pole nadziei, wydaj więc owoce, których po tobie oczekujemy¹⁾.

Mer postąpił trzy kroki naprzód, otworzył ramiona i przycisnął łkającego Izydora do piersi.

Cnotliwiec łkał, sam nie wiedząc czemu. Wśród pomieszanych wzruszeń ogarnęła go duma wraz z niejasnym i radosnym rozrzwinięciem.

Mer podał mu jedną ręką jedwabną sakiewkę, w której pobrząkiwało złoto — „pięćset franków w złocie!... — a drugą książeczkę kasy oszczędności. I wyrzekł głosem uroczystym: „Hold, sława i bogactwo dla Cnoty!“

— Brawo! — ryknął komendant Desbarres. Grenadierzy wrzeszczeli, lud klasnął.

Z kolei pani Husson otarła oczy.

Zajął miejsce przy zastawionym stole. A stół był zastawiony wspaniale i ciągnął się bez końca. Potrawy następowały po potrawach, żółty cydr i czerwone wino bratały się w sąsiadujących kielichach i mieszały w żółdkach. Brzęk talerzy, głosy ludzkie i stłumiona muzyka składały się na zgiełk nieustanny i potężny, rozpraszający się w pogodnych niebiosach, gdzie latały jaskółki. Pani Husson poprawiała co chwila obalającą się na jedno ucho perukę z czarnej sierści i rozmawiała z księdzem Malou. Podochocony mer rozprawiał o polityce z komendantem Desbarres, a Izydor jadł, Izydor pił, jak gdyby nigdy przedtem nie jadł był i nie pił. Brał i dokładał sobie ze wszystkich potraw, stwierdzając po raz pierwszy w życiu, że słodko jest odczuwać napelnianie się brzucha smakowitościami, które dostarczała pierwszej z rzędu przyjemności w chwili, gdy przechodzą przez usta. Rozpiął zreczenie wrzynającą mu się w ciało pod naciskiem pęczniejącego kałduna sprzączkę u spodni i w milczeniu, zaniepokojony plamą od wina, które polało się na jego drelichową marynarkę, przestawał żuć jedynie po to, aby podjąć kielich, który bardzo długo trzymał przy ustach, ponieważ smakował bez pośpiechu.

Wybiła godzina toastów. Wznoszono ich wiele wśród ogólnego pokłasku. Nadszedł wieczór, a przecież siedziano przy stole od południa. W dolinie unosiły się już delikatne opary o barwie mleka, lekka szata nocy przebywającej nad strumieniami i łakami. Słońce dobiegało horyzontu, w od-

dali wśród mgieł na pastwiskach, ryczały krowy. Uczęta skończona, schodzono więc ku Gisors. Rwany już teraz orszak postępował w nieładzie. Pani Husson przyjęła ramię Izydora i udzieliła mu wielu wybornych a co najpilniejszych rad.

Zatrzymano się przed drzwiami owocarni i pozostawiono Cnotliwca w domu jego matki.

Ta jeszcze nie powróciła. Zaproszona przez rodzinę na przyjęcie, wyprawione dla uczczenia tryumfu jej syna, śniadała u swej siostry, odprowadziwszy przedtem orszak aż do namiotu, pod którym zastawiony był stół.

Izidor znalazł się tedy sam w sklepiu, do którego wnętrza przenikała noc.

Był podniecony winem i pychą. W tym nastroju usiadł na krześle i wodził wokoło oczyma. Marchew, kapusta i cebula rozprzestrzeniały w zamkniętym pomieszczeniu silny zapach jarzyn, aromaty ogrodowe i proste, a z nimi mieszała się słodka i mocna woń truskawek oraz woń lekka, woń lotna, wydobywająca się z napelnionego brzoskwiniami koszyka.

Cnotliwiec pochwycił brzoskwinie i jadł ją żarliwie, aczkolwiek brzuch miał zaokrąglony jak dynia. A potem nagle ją tańczyć z szalonej radości. Coś zadziwiałło mu w kurtce.

Zdumiał się, wepchnął rękę do kieszeni i wydobyl sakiewkę z pięciuset frankami, o której zapomniał był w swym upojeniu. Pięćset franków! Co za fortuna! Wysypał ludwika na ladę i z wolna pieszcząc je szeroką i rozwartą dłonią, poukładał w ten sposób, aby je można było objąć spojrzaniem wszystkie jednocześnie. Było ich dwadzieścia pięć, dwadzieścia pięć sztuk okrągłych i złotych! Samo złoto! W gęstym mroku połyskiwały na desce, tedy przeliczał je wciąż od nowa, dotykając każdej sztuki palcem i szepcząc: „Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć — sto; sześć, siedem, osiem, dziewięć, dziesięć — dwieście“. Wreszcie wysypał je na powrót do sakiewki i schował ponownie do kieszeni.

Któż zna, któż mógłby oddać słowem straszliwą walkę pomiędzy dobrem i złem, która rozpętała się w duszy Cnotliwca, owo krzykliwe natarcie Szatana, owe podstępny i pokusy, którymi obległ serce trwożne i dziewicze? Jakże namowy, jakie widziadła, jakie żądze wymyślił Zły Duch, aby zbuntować i zgubić tego wybrańca? Bo oto wybrańca pani Husson pochwycił kapelus, na którym tkwił jeszcze bukiet pomarańczowych kwiatów, poczym wyszedł na uliczkę od tyłu domostwa i zniknął wśród nocy.

Powiadomiona o powrocie syna owocarka Wirginia zjawiła się prawie nitychmiast, lecz znalazła dom pusty. Z początku oczekiwała w zupełnym spokoju. Po ułwicie gozdziny poczęła rozmyślać. Siedzi z ulicy Delfiny widzieli, jak Izydor wchodził do domu, ale nie widzieli, aby zeń wychodził. Wszczęto za nim poszukiwania, ale nie znaleziono go nigdzie. Zaniepokojona owocarka pobiegła do merostwa, ale mer również nie wiedział nic ponadto, że odprowadził Cnotliwca pod dom. Pani Husson kładła się już spać, gdy

ją powiadomiono, że znikł jej protegowany. Zażożyła natychmiast perukę, wstała i przybyła osobiście do Wirginii. Wirginia zaś, której prosta dusza podlegała wzruszeniom gwałtownym, wyplakiwała sobie oczy, siedząc pośród kapusty, marchwi i cebuli.

Obawiano się nieszczęśliwego wypadku. Ale jakiego rodzaju? Komendant Desbarres powiadomił żandarmerię, która obezšla całe miasto. Na drodze do Pontoise znaleziono mały bukietik pomarańczowych kwiatów. Położono go na stole, wokoło którego obradowały władze. Cnotliwiec mógł paść ofiarą jakiegoś podstępu, jakiejś intrygi. Ale w jaki sposób? Jakich środków użyto, aby porwać tę niewinną istotę? I w jakim celu?

Znużone bezskutecznymi poszukiwaniami władze udały się na spoczynek. Jedynie Wirginia czuwała wśród łez.

Najazutrz wieczorem, gdy przejeżdżał powrotny dyliżans paryski, Gisors dowiedziało się ze zdumieniem, że Cnotliwiec zatrzymał pojazd o dwieście metrów od miasta, wsiadł, zapłacił za miejsce, dając ludwika, z którego wydano mu resztę i wysiadł spokojnie w samym sercu wielkiego Paryża.

Poruszenie wzrosło niepomniernie. Mer wymienił listy z naczelnikiem policji paryskiej, ale i to nie doprowadziło do żadnego odkrycia.

Dni mijały za dniami, upłynął tydzień.

Wyszedszy pewnego poranku wcześniej z domu, doktor Barbesol spostrzegł siedzącego na którymś progu mężczyznę w ubraniu z szarego płótna. Mężczyzna ten spał z głową opartą o mur. Doktor nadaremnie starał się go obudzić, albowiem był Cnotliwiec spał snem głębokim, nieprzewidywanym, niepokojącym. Zdumiony lekarz zawezwał pomocy, aby przynieść młodego człowieka do apteki Boncheval. Gdy go podniesiono, ujrano leżącą pod nim butelkę Powachawszy ją, doktor oświadczył, że zawierała wódkę. To było wskazówką, jakie środki należy przedsięwziąć. Zastosowano je z powodzeniem. Izidor był pijany, pijany i oteplany w wyniku ośmioludniowych hulańek. Jego piękne ubranie z białego drelchu stało się szarym, pożółkłym, zatłuszczonym, plugawym, poszarpanym i szkaradnym łachmanem, a jego samego czuć było wszelkimi wzwiewami kanałów, rynsztoków i rozpuszt.

Umyto go i zamknięto, nagadawszy przedtem moralów. Przez cztery dni nie wychodził zupełnie. Zdawał się być zawstydzony i skruszony. Nie znaleziono przy nim ani sakiewki z pięciuset frankami, ani książeczkę kasy oszczędności, ani nawet srebrnego zegarka, świętej spuścizny po ojcu — owocarzu.

Piątego dnia odważył się pokazać na ulicy Delfiny. Biegły za nim ciekawe spojrzenia, posuwał się więc wzdłuż domów ze spuszczoną głową, uchylając wzrok przed ludźmi. Stracono go z oczu przy wyjściu z miasta w stronę doliny. Ale w dwie godziny później ukazał się na powrót, zaśmiewając się i rozbijając o ściany. Był pijany, pijaniuteńki.

Stał się niepoprawny.

Wypędzony przez matkę został woźnicą i rozwoził węgiel z firmy Pougrisel, która istnieje po dziś dzień.

Jego reputacja pijaka wzrosła do tego stopnia i rozszerzyła się tak daleko, że nawet w Evreux mówiono o Cnotliwcu pani Husson, a sam przydomek przylgnął do tutejszych pijusów.

Dobry uczynek nigdy nie idzie na marne.

Kończąc tę historię, doktor Marambot zataił reze.

— A ty, czy znałeś Cnotliwca? — zapytałem.

— Tak, miałem zaszczyt zamknąć mu oczy.

— Na co umarł?

— W ataku delirium tremens, rzecz prosta.

Przybyliśmy pod starą warownię, będącą rumowiskiem powalonych murów, nad którymi wznosił się olbrzymia wieża świętego Tomasza z Canterbury oraz druga, nosząca miano Wieży Wieźnia.

Marambot opowiedział mi historię tego wieźnia, który za pomocą gwoździ pokrył ściany swego lochu rzezbami, posuwając się za słońcem, które wpadało przez wąski otwór strzelniczy.

Następnie dowiedziałem się, że Lotariusz II nadał był Gisors w dziedzictwo swemu kuznowi, światemu Romanowi, biskupowi Rouen, że Gisors przestało być stolicą całego kraju Vexin po traktacie z Saint-Clair-sur-Epte, że to miasto jest najważniejszym punktem strategicznym w tej części Francji i że na skutek swego położenia padało i było odbijane nieskończoną ilość razy. Za rządów Wilhelma Rudolfa słynny budowniczy, Robert de Bellesme, zbudował tu potężną warownię, obleganą później przez Ludwika Grubego, a jeszcze później przez baronów normandzkich, bronioną przez Roberta z Candos i odstanioną na koniec Ludwikowi Grubemu przez Gotfryda Plantageneta. Zdobyta na skutek zdrady templariuszy przez Anglików, stała się przedmiotem sporu pomiędzy Filipem Augustem i Ryszardem Lwie Serce, spalona przez Edwarda III, króla Anglii, który nie zdołał wziąć zamku, zdobyta ponownie przez Anglików w r. 1419, oddana później Karolowi VII przez Ryszarda z Marbury, wzięta przez księcia Kalabrii, okupowana przez Liège, zamieszkiwana przez Henryka IV itd. itd. itd.

I Marambot z przekonaniem, nieomal wymownie, powtarzał:

— Cóż za łajdaki z tych Anglików! A jakie pianice, mój drogi! To sami Cnotliwcy, ci obłudnicy!

Po chwili milczenia wyciągnął ramię w stronę półwyskującej na łakach wąskiej rzeczki i powiedział:

— Czy wiesz, że Henry Monnier był jednym z najgorliwszych rybaków na brzegach rzeki Epte?

— Nie, nie wiedziałem tego.

— A Bouffé, mój drogi, Bouffé malował tutaj na szkło.

— Co ty powiesz!

— Ależ tak! Jakże można nie znać takich rzeczy?

GUY DE MAUPASSANT

przełożył Adolf Sowiński

Grammatica in scholis facit miracula, catechismus in ecclesia

(dokończenie ze str. 3)

2. Ukoronowaniem wszystkich tych debat i konferencji był ogólnokrajowy zjazd nauczycielstwa w Eisenachu, głównie zaś — kongres pedagogiczny zwołany do Frankfurtu i obradujący równoległe do frankfurckiego parlamentu. W Eisenachu powstał pierwszy w Europie związek nauczycielski, który uchwalił i przyjął pierwszy statut związkowy. Tak więc ziarno posiane przez Diesterweg, praca z taką odwagą i trudem podjęta — nie poszła na marne.

Poza statutem związkowym, którego tutaj z uzasadnionych powodów nie będziemy bliżej analizować, zjazd uchwalił projekt nowej ustawy szkolnej i regulaminu wewnętrznego szkoły oraz ustawę o stosunku szkoły do państwa i Kościoła. Po raz pierwszy padło tu hasło szkoły jednolitej, dla wszystkich dostępnej, bezpłatnej i powszechnej. Zjazd w Eisenachu był podsumowaniem wszystkich doświadczeń i wniosków dawniejszych uchwał na konferencjach w innych prowincjach niemieckich. Przewiduje się w nich szkołę państwową, niezależną od Kościoła, zapewniającą emeryturę nauczycielom, ich dzieciom i wdowom po nich.

Kongres pedagogiczny we Frankfurcie, kontynuując zjazd w Eisenachu, skryształizował ostatecznie dążenia postępowego mieszczaństwa niemieckiego w zakresie oświaty. Tak więc poruszono sprawę nowych programów

nauczania w duchu postępowym, problem kształcenia nauczycieli. Religii wprowadzić nie wyrugowano całkowicie, ale żądano wprowadzenia tzw. religii ogólnej dla wszystkich wyznań. Wychowanie dzieci powinno mieć — zgodnie z postanowieniami zjazdu — charakter ogólnoludski, a wykształcenie powinno być wszechstronne, pełne, oparte o wiedzę dostępną wiekowi szkolnemu. Pierwszy to raz w historii szkolnictwa wielki zjazd nauczycielski podkreśla równorzędność ważności wiedzy humanistycznej z polittechniczną i artystyczną, której uzupełnieniem powinien być śpiew, muzyka i gimnastyka. Poza tym postanowiono, ażeby kształcenie nauczycieli wszystkich specjalności odbywało się na uniwersytetach.

Diesterweg jednak, a z nim Wander, przekonali w dalszym ciągu słowem i piśmem, że szkoła powinna podlegać jedynie państwu i tylko wtedy będzie szkołą wolną. Uzależnienie szkoły i nauczyciela w małym chociażby stopniu od władz komunalnych doprowadziłoby w konsekwencji do ponownego podporządkowania jej Kościołowi i parafii. W Eisenachu zwyciężyła jednak formuła kompromisowa. Uchwaliły zgromadzenia przewidują wprowadzić niezależność szkoły od Kościoła, ale podporządkowują jej czynnikowi państwowemu i komunalnemu jednocześnie.

W związku z tym ogólnokrajowym kongresem pedagogicznym sprawom wychowania i nauczania poświęcał także wiele uwagi parlament frankfurcki. Gorącą debatę pedagogiczną wywołało szczególnie wystąpienie biskupa Kettelera, jakież podobnego w swej mentalności i dziejach swego żywota do Ignacego Lejoli²⁾.

Ketteler spotkał się wtedy z ostrą repliką. Reprezentantowi dogmatycznej nauki o wychowaniu i dogmatycznej wiedzy o psychice

²⁾ Biskup Moguncji, Ketteler (1811—1877) zasługuje na bardziej szczegółową wzmiankę dlatego także, iż wiele lat później zabierał publicznie głos w sprawach wychowania i nauczania. Historyk szkolnictwa, w szczególności zaś badacz dziejów stosunku Kościoła do szkoły, znajduje w jego walkach ze świeckością szkoły przykłady typowe i argumenty klasyczne. Gdy w r. 1857 Diesterweg napisał broszurę pt. „Pädagogisches Wollen und Sollen“, Ketteler wystąpił z listem pasterskim przeciw niemu, co znowu dało zaatakowanemu asumpt do napisania rozprawy pt. „Bischof und Pädagog“ (Lipsk, 1858). Z dzieł Kettelera wymienić należy dwa pryncypjalnie: a) „Die grossen sozialen Fragen der Gegenwart“, wyd. w 1849 r. i b) „Die Arbeiterfrage und das Christentum“, wyd. w 1864 roku.

człowieka: przeciwstawili lewicowi postowie empiryczną wiedzę pedagogiczną i psychologiczną. Obie te gałęzie wiedzy humanistycznej należy rozwijać i pielegnować w celu zrozumienia życia wewnętrznego każdej jednostki, w przeciwieństwie do dogmatyki reprezentowanej przez Kettelera, zabijającej w człowieku wszelkie objawy życia i samodzielności. Nowoczesne pojęcia o wychowaniu, które powinny zawiązać atmosferę całego szkolnictwa, pozostają w sprzeczności z duchem dogmatu. Nie powinno być więcej miejsca w szkole dla tego ducha.

Wszystkie zjazdy i konferencje nauczycielskie, które odbyły się potem i przedtem w innych miastach i krajach niemieckich, wysunęły te same hasła. Reasumując, można je ująć w następujące streszczenie: Rewolucyjne nauczycielstwo zostawia Kościołowi sprawę wychowania religijnego, domaga się natomiast w świeckiej szkole szerokiego zakresu empirycznej wiedzy, wysokiego poziomu sprawdzonych wiadomości, a tym samym emancypacji szkoły spod wpływu dogmatu w sensie naukowym i organizacyjnym. „Wiosna Ludów“ wnosi do szkoły powiewy świeżości i świeżości w nauczaniu i wychowaniu, Kościołowi zostawiając katechizm i wychowanie religijne. Hasło to stworzyło wspólną platformę dla Harkorta i Diesterwega.

Ignacy Szaniawski

JADWIGA SIEKIERKA

O TEATRZE ŚWIE TLICOWYM

(na marginesie widowiska wrocławskiego)

ZARÓWNO festiwal czerwcowy zespołów świetlicowych, jak i widowisko „Pieśń o ludzie naszym” na wrocławskim kongresie kierowników świetlic daje bogaty materiał dla analizy amatorskiej twórczości artystycznej.

Bogactwo formy na pokazie czerwcowym, a więc sztuki normalne, klasyczne i współczesne, adaptacje sztuk specjalnie dla świetlic, udratunkowane montażem, recytacje zbiorowe, tańce ludowe i chóry — wszystko to świadczyło o rozmachu amatorskiego ruchu robotniczego, ujawniło jego własne odkrywcze poszukiwania i jego błędnie po ślepych zaułkach pseudo — zawodowego teatru. Bezspornym okazało się jedno: naśladownictwo (nawet najlepsze) teatru zawodowego nie jest właściwą drogą teatru ochotniczego.

Natomiast montaż tekstów poetyckich, publicystycznych, historycznych, bądź aktualnych odpowiednio powiązanych z pieśnią i tańcem, z tłem muzycznym technicznie świeżością, były pomysły, wnoszące dużo twórczego, nowego elementu.

Tę rolę montażu dają możliwość artystycznej wywyższyć się w świetlicy dziesiątkom ludzi, a mogą obciążyć i setki.

W odróżnieniu od „zawodowo” granych sztuk kameralnych z udziałem kilku osób — tutaj wychowawcze oddziaływanie gry rozszerza się. A przecież właśnie o to chodzi. Teatr ochotniczy nie powinien produkować niedouczonej aktorów z niezdrowymi ambicjami zawodowców, lecz ma na celu po prostu wychowywać młodzież robotniczą, chłopską, podnosić jej poziom kulturalny, rozwijać wrażliwość artystyczną.

Na wyróżnienie nowego repertuaru świetlicowego zasługują „Manifesty” w oprac. Piotrowskiego, znane już dziś w całej Polsce, „Złota Książeczka” ks. Ściegiennego. Słowa Adama Mickiewicza z „Trybuny Ludów” i „Manifest Komunistyczny” (w wykonaniu zespołu fabryki Sygnałów w Bydgoszczy) zabrzmiały mocno, ograne młodzieńczym zapalem wykonawców.

Widowisko wrocławskie było również śmiałą, monumentalną próbą (z udziałem 350 osobowego zespołu) szukania nowych dróg teatru świetlicowego.

„Pieśń o ludzie naszym” — jak brzmi nazwa widowiska powstała z materiału ludowego, opracowanego przez Leona Schillera, oraz z tekstów tzw. słowa wiążącego, piosenki St. R. Dobrowolskiego. Całość widowiska obrazująca obyczajowość i walkę wsi, rzemieślników, robotników, złożona z udratunkowanych fragmentów, przepiękanych tańcami, pieśnią, zespołową recytacją, była niestety tylko mechaniczną całością. „Pieśń o ludzie naszym” przeszła obok istotnych momentów życia i walki naszego ludu. Cenny, twórczy pomysł — montaż inscenizacyjny tekstów ludowych, publicystycznych, poetyckich nie został prze-myślany ideologicznie, nie miał wyraźnej koncepcji społecznej. Stąd istotne wypaczenie samego pomysłu, rozbieżność między intencją a jej realizacją, zejście ze słusznej drogi, a mianowicie i bezdroża pseudo — ludowości i rodzajowych efektów.

Najważniejsze ideologiczne uchybienie widowiska polegało na tym, że w obrazie wsi polskiej momenty społeczne walki chłopstwa polskiego, jego niedola, utonęły w nadmiernej obfitości malowideł folklorystycznych, jak „Wesele”, „Galka” itd. Co gorsza, Warszawa rzemieślnicza, dojrzewanie świadomości robotnika polskiego, jego walka — zostały pokazane w zgoła krzywym zwierciadle. Rodzajowe sceny z humorem, z figlarną swobodą potraktowane, (ale nie typowe dla robotnika polskiego, lecz dla lumpenproletariatu — jako obraz „Bielany”) — zajęły niemal centralne miejsce w drugiej części widowiska, poświęconej przeważnie klasie robotniczej. Tę politycznie już rażąco wadliwosc widowiska nie ratowało słowo wiążące St. Rysz. Dobrowolskiego, choć dobrze skomponowane.

Przeciwieństwo, gdy po słowie wiążącym o ładunku społecznym, rewolucyjnym, gdzie padają słowa o trudach walki proletariatu, jego nieugiętości i ofiarach — następowało bezpośrednio przejście do nadwiślańskiego humoru, do piosenki w duchu dobrego kabaretu („Bielany”) — to tego rodzaju układ sceniczny, budził tylko niesmak. Nie chcę być źle zrozumiana. Przedstawienie dzieł woli proletariatu nie oznacza chodzenia na szczytach patosu. Bez humoru, dowcipu, rubasznego wesołości nie byłby pełny obraz życia robotnika, czy rzemieślnika polskiego. Optyzmizm jest charakterystyczną cechą właśnie proletariatu. Widowisko słusznie wydobyciło te akcenty i we właściwy sposób udratunkowało np. we fragmencie „Stare miasto”. Ale jak trafnie powiedział jeden z kierowników świetlic, krytykując widowisko, że nie można pokazać bawiającej się Warszawy, nie dając obrazu walczącej Warszawy. Ten błąd zasadniczy zawył na całość widowiska. Udratunkowanie „Mazura Kąjaniarskiego” Ludwika Waryńskiego nie ratuje sytuacji. Zagubił się on wśród przypadkowo dobranych scenek rodzajowych z zupełnie nie dopasowanym do nich słowem wiążącym. Ktoś określił dowcipnie, że słowo wiążące St. R. Dobrowolskiego brzmiało jak osamotniony umoralniający głos o wysokiej ideowości, z którego drwi sobie niesfora młodzież, zasmakowawszy w zabawie.

Idea tego monumentalnego widowiska wymagała doboru bardziej typowych scen, większej selekcji materiału, przestrzegania odpowiednich proporcji w układzie scen rodzajowych i scen walki. Tymczasem otrzymaliśmy wypaczony obraz życia ludu polskiego.

Ani 1905, ani słynne strajki chłopskie, ani żaden krwawy maj, ani walcząca okupacyjna Warszawa, nie ożyły w żadnym z obrazów.

Całość robiła wrażenie, jak gdyby autorzy widowiska utonęli w powodzi materiałów i w pośpiechu wysunęli na pierwszy plan momenty przypadkowe nie charakterystyczne — istotne zaś okresy poszły w zapomnienie.

Ale mimo poważnych potknięć i porażek tego pierwszego wielkiego eksperymentu teatru świetlicowego, widowisko odkryło ogromne możliwości do podobnego typu teatru, dowiodło, że idea, pomysł tego rodzaju inscenizacji otwiera nowe horyzonty dla teatru świetlicowego, jest zapowiedzią. Poszczególne obrazy, sceny były doskonałe pod każdym względem. Tutaj na specjalne wyróżnienie zasługuje obraz „Pańszczyzna” w wykonaniu zespołu kopalni „Niwka Modrzejów”. Mocny poetycki tekst Dobrowolskiego w udratunkowaniu łączył symbolikę społeczną, z realizmem wykonania pełnym świeżości i siły. „Sobótki” jako układ sceniczny oparty na tańcu, w wykonaniu huty „Pokoń” i „Batory”, miały w sobie dużo liryzmu i poetyckiego wdzięku i od tej strony przypominały słynny balet Moisiejewy.

Z dużym temperamentem, swobodą i smakiem wykonał zespół Państw. Zakł. Bawełn. Nr. 8 w Łodzi „Pochwałę stanu żołnierskiego” — obrazek humorystyczny żalotów ułańskich.

Z doskonałym wyczuciem społecznym i inteligentnie, na wysokim poziomie artystycznym prowadzone było słowo wiążące przez Łódzkie Technikum Włókiennicze.

Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że żadne widowisko świetlicowe nie stało na tak wysokim poziomie wykonania artystycznego, jak właśnie widowisko wrocławskie. Pod tym względem jest ono bez zarzutu.

Poza doskonałym zgraniem całego zespołu, artystyczny sukces widowiska jest dużą zasługą młodych reżyserów (Rene, Bloka, Sykały), autorów układu scenicznego poszczegól-nych obrazów, a przede wszystkim jest zasługą reżysera Józefa Wyszomirskiego, który montował całość widowiska.

To, co stanowi — nieodparty urok ochotniczego teatru — świeżość, bezpośredniość, głęboka szczerość przeżyć (osiągalna znów tylko na szczytach sztuki teatralnej u wielkich mistrzów sceny), w połączeniu z artystycznym wykonaniem — było niewątpliwie dużym, niespotykanym dotychczas, sukcesem widowiska wrocławskiego.

W całym widowisku nie było „gwiadz” równo na poziomie grali wszyscy. I co najwęższe, czuć było, że „aktorzy” nie tylko bawili publiczność, ale sami doskonale się bawili z młodzieńczą radością wyżywając się w przedstawieniu. I o to właśnie chodzi w tea-

trze świetlicowym. Na tym polega jego rola wychowawcza. Widowisko wrocławskie jeszcze raz potwierdziło starą już prawdę: ile utajonych talentów, twórczych możliwości można wydobyć z naszej młodzieży robotniczej, jeżeli pokieruje nią twórcza ręka artysty, jeżeli zachodzi wzajemne oddziaływanie grającej młodzieży z autorem i reżyserem widowiska.

Natomiast poważne, wspomniane już wady ideologiczne widowiska świadczą o tym, że dla dobrego zmontowania całości widowiska — od jego autorów i kierowników, poza sprawnością reżyserską, poza trafnym układem szczegółów wymagane jest duże wyczucie społeczne i wyrobienie polityczne. Stąd nauka na przyszłość.

PERSPEKTYWY REPERTUARU ŚWIE TLICOWEGO

Festiwal czerwcowy i widowisko wrocławskie w jednakowym stopniu ukazały ogromne możliwości udratunkowanych montażu dla teatru świetlicowego. Ale zarówno braki festiwalu czerwcowego, jak i widowiska wrocławskiego świadczą o tym, że dotychczas świetlice nasze nie posiadają dobrze zrobionych montażu. Zainscenizowane już montażu są w znacznej mierze w swych intencjach słabym pomysłem zawartym w niedopracowanym jeszcze surowcu. To cośmy ujrzeli poczynając od najlepszego — od „Manifestów” — jest dopiero listką z której może narodzić się piękny motyl. Niewątpliwie, że dokumenty i teksty historyczne, publicystyka, nawet kronika (jak w montażu „Kolejarz w walce i odbudowie”) mogą w odpowiednim układzie i w wykonaniu ludzi, głęboko czujących te sprawy, nabierać cech artystyzmu, emocjonalnie oddziaływać.

Montażu świadczą, że zakres materiału literackiego, godnego udratunkowania — znacznie się rozszerzył. Dalekie od sztuki teksty, suche notatki, nawet cyfry mogą stać się tworzywem artystycznym. To, co przewinęło się przed oczami jest zaledwie formą zalażkową, zapowiedzią ciekawych nowych horyzontów inscenizacyjnych. Dramatyczne etapy w dziejach naszego narodu, bogactwo form walk społecznych, okresów rewolucyjnych w ruchu robotniczym, ludowym — to niewyczerpane źródło dla pomysłów inscenizacyjnych.

Insurekcja Kościuszkowska, powstania, walka „O naszą i waszą wolność”, 1905 rok, 1918 rok. Okres okupacji, wyzwolenie kraju, patos odbudowy itd. Edward Dembowski, Sta-

niśław Worcel, Ludwik Waryński, Kasprzak, Okrzeja, Nowotko... i wiele innych.

Tę rolę montażu o wyraznym ładunku społecznym, wymagającym wyczucia historycznego i politycznego w doborze materiału, dokumentów, doświadczenia literackiego i zrozumienia pracy świetlicowej.

Suma tych warunków nie jest prosta do opanowania, ale jest pod pewnym względem łatwiejsza niż napisanie normalnych tradycyjnych sztuk na podobne tematy. Zresztą, w teatrze świetlicowym takie sztuki, nawet nie spełniłyby swego zadania.

Gdyby nasi pisarze, poeci podjęli się zespołowo, lub indywidualnie przygotowania tego rodzaju montażu — niewątpliwie podobna inicjatywa spotkałaby się z uznaniem szerokiego ruchu amatorskiego na wsi i w mieście.

Tę, kto widział popisy naszych zespołów świetlicowych, czy też widowisko wrocławskie nie trzeba długo przekonywać o nowych twórczych możliwościach udratunkowanych montażu na scenie świetlicowej. Niedowiar- kom radzę się przekonać przy pierwszej sposobności.

Podjęcie prób układania montażu ma również inną stronę, tak szeroko choć jałowo dyskutowaną na łamach naszej prasy.

A mianowicie byłoby to twórczym wkładem naszych pisarzy w dzieło upowszechnienia kultury. Sprawa powiązania pisarza z życiem robotnika (często w naiwny uproszczony sposób jest pojmowana), pozostaje w znacznej mierze pobożnym życzeniem. Zwiększenie fabryk, wizyty w mieszkaniach robotniczych nie są główną właściwą drogą zbliżenia inteligenta i robotnika a czasami mają nawet posmak zgola obcy nam, przebrzmiały. Dlatego w rozważaniach na ten temat jest dużo pomysłów sztucznych. Natomiast związanie robotnika z pisarzem na gruncie wspólnych zainteresowań — otwiera możliwości rzeczywistego wzajemnego zbliżenia się i poznania.

W dobrym, nowym repertuarze dla świetlic są głęboko zainteresowani i robotnicy i chłopcy.

Pisanie sztuk „niższego” gatunku specjalnie dla świetlic nie odpowiadałoby ambicjom naszych pisarzy i zadaniom świetlicy.

Tworzenie zaś zgola odmiennego, nowego repertuaru o szerokim rozmachu i nlewy-czerpanych możliwościach rozwoju w teatrze ochotniczym powinno zainteresować i pociągnąć naszych literatów.

Jadwiga Siekierska

EDWARD MARTUSZEWSKI

KSIĄŻKA BARDZO HISZPAŃSKA

LITERATURA hiszpańska jest u nas niemal zupełnie nieznaną, zwłaszcza współczesną. Toteż należy się uznanie Sp. Wyd. „Książka”, która dostarczyła ostatnio polskiemu czytelnikowi dwa opowiadania emigracyjnego pisarza Arturo Serrano Plaży *) na temat hiszpańskiej wojny domowej. Jedno z opowiadań dało tytuł całemu zbiorowi — „Niebo i ruiny”, drugie zawiązuje swoją nazwę głównemu bohaterowi — kapitanowi Javier. **).

Cóż można powiedzieć o tych „madryckich opowiadaniach”, jak je określa podtytuł, nie posuwając się do nieistotnej może w tym wypadku analizy formalnej? Problematyka ich jest aktualna, fabuła interesująca, technika pisarska opanowana i na poziomie (o ile „odliczyć się” autorowi kilka niezbyt zręcznych zwrotów stylistycznych, które natomiast należy zdaje się policzyć na rachunek, poprawnego zresztą na ogół, tłumaczenia Zofii Szleyen).

Istota zagadnienia leży gdzie indziej. Cemu należy przypisać to, że czytelnik oddkłada książkę Plaży z uczuciem jakiegoś dziwnego zmieszania. Autor wprawdzie opowiada się wyraźnie po stronie demokracji i sił postępu, ale ogólny wydźwięk obu opowiadań daleki jest od tego, jaki cechuje utwory realizmu socjalistycznego, a przypomina raczej założenia egzystencjalistów i literatury dekadentów.

Stefan Żółkiewski w jednym z ostatnich numerów „Kuźnicy” zwrócił uwagę na to, że „należałości tej artystycznej postawy” (egzystencjalizmu) znajdują się w ostatnio drukowanych w „Odrodzeniu” nowelach M. Prońskiego. Właśnie „Bomba” tego autora posiada dużo punktów stychnych z „Niebem i ruinami”, zwłaszcza w zakończeniu. I tu i tam obie pary ginących od przypadkowej bomby bohaterów są bardzo osamotnione, giną nie wiadomo po co, podobnie zresztą jak i samobójca kapitan Javier. W omawianych opowiadaniach Plaży znajdujemy motywy i elementy fabularne bliskie literaturze egzystencjalistycznej.

Jeden z koryfeuszów egzystencjalizmu, Albert Camus, twierdzi, że „prawdziwie filozoficznym problemem jest jedynie samobójstwo”. Arcykapłan Sartre w „L'Être et le Néant” głosi: „Ludzie są skazani na rozpacz,

gdyż odkrywają, że wszystkie czyny ludzkie są jednakowo ważne... i wszystkie z zasady są skazane na niepowodzenie”. Simone de Beauvoir w ten sposób rozwija myśl „mistrza”: „Jesteśmy skazani na niepowodzenie, ponieważ jesteśmy skazani na gwałt; jesteśmy skazani na gwałt, ponieważ człowiek jest rozbitą i przeciwstawioną sam sobie, ponieważ ludzie są podzieleni i nawzajem sobie przeciwstawieni”.

Chociaż powyższe cytaty w zestawieniu z opowiadaniem Plaży wskazywałyby na pewne analogie między jego postawą a postawą filozoficzną egzystencjalistów, uogólnienie takie byłoby dla niego krzywdzącym, gdyż tak w „Niebie i ruinach” jak i w „Kapitanie Javier” znajdujemy więcej dowodów na twierdzenia wręcz odwrotne. Cemu więc przypisać to swego rodzaju rozdwojenie, to posuwanie się do przeciwnych skrajności, które mogą razić naszych czytelników? Odpowiedź na to pytanie może nam dać historia. Właśnie historia Hiszpanii.

Aby zrozumieć właściwie opowiadania Plaży musimy wziąć pod uwagę następujące fakty historyczne: zjednoczenie hiszpańskiej Iberii pod berłem królów katolickich Ferdynanda i Izabelli (zdobycie Granady) przypada na ten sam rok co i odkrycie Ameryki przez Kolumba. Młode, dopiero co powstałe państwo hiszpańskie staje się w błyskawicznym tempie największym mocarstwem świata, w którym słońce świeci bez przerwy.

Podczas gdy średniowieczni rycerze — Cydowie przemieniają się w konkwistadorów i żeglarzy, opuszczających ojczyznę (bardzo często na zawsze), na tronie hiszpańskim zasiadają królowie obcej dynastii, kierujący się obcymi dla Hiszpanii interesami. Wynikiem odpływu najlepszych jednostek (w sensie biologicznym) do Ameryki i kolonii w Afryce oraz na Pacyfiku z jednej strony, a z drugiej polityki wewnętrznej i zagranicznej z drugiej jest tak szybki i gwałtowny upadek imperium hiszpańskiego, jak szybkim i gwałtownym było jego powstanie.

Hiszpania staje się wkrótce zdolna jedynie do bohaterstwa powstania przeciwko obcej najeźdźcy, lecz po ostatecznej klęsce Napoleona sytuacja wewnętrzna w Hiszpanii staje się jeszcze gorsza niż poprzednio. W latach 1820—23 wybuchają raz po raz powstania tłumione przez rodzimą reakcję i wojska francuskie, od 1833 do 1840 roku wojna domowa, w 1868 znowu powstanie, w latach 1873—4 pierwsza republika, potem powrót monarchii, w 1895 powstanie na Kubie a w trzecim roku jego trwania wojna ze Stanami Zjednoczonymi i utrata wszystkich

kolonii (prócz afrykańskich), 1923—30 dyktatura Primo de Riviera, w 1931 powstanie drugiej republiki, 1936 wybuch wojny domowej, trwającej trzy lata a następnie 10 lat dyktatury i terroru faszystowskiego.

Wśród tych wszystkich faktów za „dno” nieszczęśliwej Hiszpanii uważa się ostatnie lata wieku XIX i obecne panowanie generała Franco. W roku 1936 istniało tylko jedno „dno” — ostateczny upadek imperium. Katastrofalna pod każdym względem w swych skutkach wojna ze Stanami Zjednoczonymi i utrata kolonii amerykańskich oraz Filipin stała się powodem niezliczonej ilości rozpraw, traktatów, książek i zwykłych artykułów, starających się w taki lub inny sposób określić powody klęski i poniżenia oraz wskazać drogę ratunku. Opinia hiszpańska na sprawy ogólnonarodowe do dziś dnia jest bardzo podzielona a zapatrywania postępowego i szczerzego demokracji Miguela de Unamuno diametralnie różnią się od takiego np. Ortegi y Gasset czy też Caballero, którzy tworzą mistyczne teorie o „genio de España”, stojące na tej samej płaszczyźnie co teorie o Polsce — Mesjaszu narodów. Podczas gdy jednak Polska po drugiej wojnie światowej wyszła ostatecznie z okresu upadku i wkraczając na drogę socjalizmu weszła w okres rozwoju i postępu, Hiszpania znajduje się jeszcze w walce.

Nie jest dziełem przypadku, że partia, która rządzi obecnie po dyktatorstwie Hiszpania określa się jako „tradycjonalista” (związana z tradycją) Falanga jasno i niedwuznacznie nawiązuje do tradycji hiszpańskiego imperia- lizmu, marzy o mocarstwie i przynajmniej o hegemonii w Ameryce południowej i środkowej, jako o lekarstwie na wszelkie bolączki.

W opowiadaniach Plaży widzimy starcie się dwu światopoglądów — lecz nie światopoglądu demokratycznego z faszystowskim, postępowego z reakcyjnym, ale: demokratycznego i postępowego, opartego o wiarę w człowieka i socjalistyczną przyszłość — z bezwładem, marazmem, z oportuniem i kapitałactwem, z bezmyślnym zdaniem się na łaskę losu.

W opowiadaniach Plaży niemal że nie widzimy w ogóle przedstawicieli faszyzmu. Jedynym jego okazem jest dosyć enigmatyczny i zamaskowany don Pedro w „Niebie i ruinach” oraz — dalekie sylwetki idących do ataku falangistów w „Kapitanie Javier”. Autor traktuje ich jako wrogów, lecz nie poświęca im wiele uwagi, skupiając ją właśnie na ludziach niby to stojących po stronie demokracji.

*) Końcówka w odmianie polskiej otrzymuje „n”, gdyż nazwisko to wymawia się „Placha”.

**) Arturo Serrano Plaży: — „Niebo i ruiny”, Sp. Wyd. „Książka”, Warszawa 1946.

Przypatrzmy się bliżej takiemu kapitanowi Javier. Co go właściwie łączy z republikanami? Gdyby nie ośmieszanie się w młodych latach, w chwili wejścia do szkoły wojennej, kto wie czy nie stałby się po stronie gen. Franco, zwłaszcza jeśli w krytycznym momencie dostał taki rozkaz od swego dowódcy. Kapitan Javier nie wierzy w zwycięstwo od samego początku walki, nie wierzy nawet w swoją zemstę i w oczyszczenie swego prywatnego honoru. Na krótko galwanizuje go wpływ świadomego swych celów życiowych rewolucjonisty Atanasa, lecz wystarczy, potem krótka chwila wątpliwości, by popłynął całkowicie niepotrzebne samobójstwo. Atanasio, dowiedziawszy się o jego śmierci, podświadomie zasłania jego postępek — „brakiem doświadczenia bojowego”. Czyny to podświadomie, gdyż instynktownie czuje, że inni jego koledzy są podatni na te same „zarazki”, które stały się przyczyną psychicznego załamania się kapitana. A „ten, który pierwszy odezwał się do Atanasa, odchodząc powtórzył z rozpaczą i gniewem:

— Akurat dzisiaj... Niech diabli porwają!
Rozpacz i gniew prostego człowieka — oto reakcja uczuciowa, jaką zamyka autor swoje opowiadanie. Bardzo charakterystyczna pointa.

Podobnie osamotnioną w swym osobistym życiu jest również bohaterka „Nieba i ruin” Wiktoria (nomen in tym wypadku non est omen, raczej przeciwnie). Gdy myślimy o jej losie również wzbiera w nas gniew i rozpacz. Lecz nie tyle z powodu jej nieszczęśliwego i może trochę niepotrzebnie sztucznego końca, lecz z powodu motywów jakimi kieruje się Ramon w swych staraniach zdobycia jej, a które w pewnym sensie trafiają jej do przekonania.

— Kobieta winna być razem z mężczyzną, aby mu pomagać, aby walczyć ramię przy ramieniu... Ale nawet nie o to chodzi. Powinna nie narzekać, a zachowywać się tak, jak gdyby się za niego modliła.

— A jeśli nie może? — odpowiada Wiktoria.

— Wtedy widać jest kobietę, złą, taką, jak kobiety „tamtych”.

To faszystowskie raczej niż demokratyczne rozumowanie łączy się jeszcze z inną „sentencją”: „Bo jeśli mężczyźni się zabijają, to jest po co”. I takie właśnie stanowisko, zmusza Wiktoria do rewizji swych dotychczasowych, bardzo „lawirujących” zapatrywań i następującej konkluzji: „Gdy pomyślałam, że masz odejść, że może już nigdy się nie zobaczymy, że mogą zabić ciebie lub mnie, lub oboje — samotnych, zrozumiem, rozłączonych? Nie, tak być nie może!”

Wyobraź sobie człowieka tonącego w falach morza. Obok przepływa statek. Człowiek słyszy syrenę, statek zatrzymuje się nawet na chwilę obok niego — a potem, gdy rozbił się na kawałki, statek już — już go zabierze — ten zaczyna odpływać, choć widzi człowieka walczącego o życie. Co za okropność! I choćby nawet potem udało mu się ocalić, już nigdy nie przestanie nienawidzić ludzi i siebie samego nienawidzić będzie za to, że w nich uwierzył!”

Mamy tu więc do czynienia z próbami pokonania egzystencjalistycznych oporów, z próbami wypracowania sobie jakichś bardziej społecznie-humanistycznych poglądów, lecz na płaszczyźnie stosunkowo bardzo wąskiej, bo tylko miłosnej.

Wewnętrzne walki i zmagania się głównych postaci obu opowiadań pozostawia autor całkowicie niezmienionymi dla ich najbliższego otoczenia. Luis w „Niebie i ruinach” jest nawet gotowy przypuścić, choć odpycha od siebie myśl o tym, że Ramon i Wiktoria (których przecież obdarzał szczerą i gorącą sympatią) są jednak tymi poszukiwanymi przez niego szpiegami a Atanasio również właściwie nie ma pojęcia o tragedii kapitana Javier, o tragedii, którą można by nazwać tragedią narodu hiszpańskiego. Bohaterowie Plajy są bowiem bardzo tragiczni, lecz tragizm ich staje się zrozumiały dopiero wtedy, gdy spojrzymy nań przez pryzmat dzisiejszej rzeczywistości hiszpańskiej, rzeczywistości, która jest wynikiem i następstwem dwudziestu kilku wieków historii Hiszpanii.

Edward Martuszewski

TREŚĆ NUMERU 49:

Kazimierz Brandys — Listopad moskiewski; Leopold Staff — Wiersze; Mieczysław Jastrun — „Zem widział żaden człowiek”; Jan Reychman — Dwie rewolucje i dwie rocznice; Ryszard Matuszewski — Wiersze; Andrzej Stawar — Literat i wieszcz (II); Ilia Erenburg — Na Światowym Kongresie Intelektualistów w obronie pokoju; ksm (opr.) — Angielska dyskusja o Kongresie Wrocławskim; Maria Janion — O ekiektyzmie i obiektywizmie; Adam Ważyk — Z teatrów łódzkich; Marian L. Bielicki — Pierwsze porywy; Kandyd — Tak toczy się świat; Przegląd prasy; Korespondencja; Noty.

LECH BUDRECKI

SPRAWY MAŁEGO REALIZMU^{*)}

PRZEDMIOT książki stanowi kronika dwu warszawskich miesięcy: sierpnia i września 1944 roku. Nagromadzenie dużej ilości postaci, dużej ilości luźno związanych ze sobą scen ma tu służyć zapewne konstrukcji „szerokiego obrazu”, który obejmowałby już nie kilku pojedynczych ludzi, ale cały ich zespół, dzięki czemu zarejestrowany został całokształt zjawiska, jakim jest powstanie warszawskie. Karty książki Rydzewskiej roją się od wypadków, anegdot, anonimowych rozmów, mających dać „przekrój” życia Warszawy: „Ktoś tam idąc kończy swą opowieść o domu. Domu, który stał się już mitem. No i stamtąd wchodziło się do hallu, a z niego do trzech pokoiów na parterze. Drzwi całe prawie ze szkła, boazerie z jesionu. Jakże to straszne, że nigdy, nigdy już... A gdzie indziej: — I założyłam akurat przed powstaniem, moja pani, nowe firanki. Miałam wszystko, nie powiem. Namęczyłam się na tym szmuglu, że o jej, ale mogłam za to sprawić sobie niedno. Przed miesiącem kupiłam też sobie nowe kapy”.

Rydzewska rzadko udziela nam informacji z zakresu genealogii swych postaci. Przemilczane są nawet dane o ich obecnej sytuacji społecznej. Nagromadzenie pokazuje losy postaci miało ukazać nie losy ludzi poszczególnych klas, a losy tych czy innych typów psychicznych. Mamy tu do czynienia z typowym okazem beletrystyki, którą nazywano tak często „małym realizmem”. Każdy powieściopisarz posługuje się, czy wie o tym, czy też nie wie, pewnym widzeniem roli człowieka w następujących po sobie wydarzeniach. Rydzewska ma też swoją koncepcję, której najważniejszym punktem jest negacja wszelkich praw historii, niezależnych od danych psychicznych poszczególnych jednostek.

Powstanie warszawskie stanie się więc wynikiem tylko i wyłącznie machinacji politycznych rządu londyńskiego. Żadnego innego łańcucha spraw powiązanych ze sobą przebiegiem przyczynowo-skutkowym pisarka nie dostrzega. Próba:

„Pierwszego dnia chwyciła za broń tylko Armia Krajowa. Otumanieni: obywateli „londyńskiej szóstki” AK-owcy porwali ideę walki odwetu rzucili się z zapalem i entuzjaz-

*) Nina Rydzewska, „Godzina W.” Sp. Wyd. „Książka” 1948 str. 188.

BOGUSŁAW ZAŁOŻYŃSKI

W sprawie popularyzacji wiedzy technicznej i przyrodniczej

TAK ZWANE dodatki literackie pism codziennych były już niejednokrotnie omawiane i charakteryzowane na łamach prasy tygodniowej i miesięcznej, natomiast stronicy *dzienników* poświęcone zagadnieniom popularno-naukowym nie doczekały się jeszcze analizy i oceny. A szkoda! Wszelka krytyka działa zapładniająco — przemilczanie zaś i niedostrzeganie faktów powstrzymuje choćby nawet niechęć, ich rozwój. W naszej rzeczywistości, w epoce powstawania nowych form i metod kształcenia, w epoce budzenia zainteresowania mas ludowych wszystkim co wnosi postęp i wiedzę, ujawnienie zalet i wad różnorodnych zjawisk może tylko przynieść korzyść. W dydaktycznej grze sprzeczności na każdym odcinku życia społecznego — a takim jest niewątpliwie prasa codzienna, powstają najbardziej właściwe środki i sposoby wyrażania potrzeb i zaspokajania zamówień społecznych.

W dziedzinie kulturalno-oświatowej w wypadku niezauważenia poważnego w rzeczy samej czynnika szerzenia kultury i oświaty mamy do czynienia z wyraźnym niedopatrzeniem. Nie można bowiem wyobrazić sobie, aby przejście mimo całej galezi pracy — jaką jest popularyzacja wiedzy — było świadome i rozmyślne. Przemilczanie krytyczne i recenzyjne dotyczy nie tylko dodatków w *dziennikach*, ale w ogóle publikacji z dziedziny popularno - naukowej. Dzieła literackie różnego autoramentu bez porównania częściej i obszerniej są omawiane na łamach naszej prasy, podczas gdy dzieła popularno - naukowe są na ogół przemilczane. Przyczynia się to do tłumienia zainteresowania nauką a budzenia jednostronnych skłonności i zamiłowań literackich jakże często nieuzasadnionych.

Wiadomo, że w ZSRR, USA, a częściowo także w Wielkiej Brytanii zaszły w ostatnich latach wielki zwrot ku naukom stosowanym idący w parze z postępami techniki. Polska pod tym względem pozostawała daleko w tyle i wolania o powrót do humanizmu rozlegające się tu i ówdzie w naszych czasopiśmie są co najmniej przedwczesne.

Ta właśnie jednostronność, puścizna humanistycznego kształcenia wywołuje wtórne skutki objawiające się w dziedzinie oświatowej przemianami się po łatwiznach, unikaniem trudniejszych zagadnień wymagających przygotowania i studiów, wywołuje z kolei słabsze zainteresowanie publikacjami popularno - naukowymi i mały ruch wydawniczy w tym zakresie.

mem w ten wir, snując nadzieje na pomoc Anglii i ufając, że wypadki na froncie wschodnim rozwiną się dla powstania pomyślnie”.

Ludzie są wg. autorki, dobrzy i źli, działający w myśl swoich dyspozycji psychicznych uwarunkowanych ich charakterem, ukształtowanymi częściowo tylko przez przeżycia, których doznali. W książce jej żony zdradzają mężów w czasie powstania, chłopcy rzucają się na filipinki na czołgi, a kobiety płaczą nad zabitymi kochankami, są ludzie troszczący się o pokojowe piekarnie w pierwszych dniach sierpnia 1944 roku, przy czym zjawiska te włączono do dzieła na zasadzie niejako „statystycznie”, ponieważ występowały najczęściej. Z tego samego powodu znajdujemy u wagi o firankach i o kuchni. Takie są selekcje materiału pisarskiego wynikającego z indeterministycznego ujęcia historii, z negacji jej prawdziwości.

Niejednokrotnie uznawano za wielką zasługę prozy polskiej lat 1945/48, nowy sposób ujmowania sensu wojny, której nie traktowano już jako „okrutne nieporozumienie”. Mówiono o zerwaniu z *Remarque’em*, o rozbracie z *Gläserem*. Powieści w stylu „Apłeczki polowej” Freya, czy też „Dewnianych krzyży” Dorgelesa miały nie znaleźć już swych polskich odpowiedników. Niestety znalazły się wyjątki. „Godzina W.” jest jednym spośród nich. Tu dopiero ujawnia się żywotność „Na zachodzie bez zmian”. „Chłopcy i dziewczęta na wypad, dzieci z butelkami na czołgi albo z gazetkami na miasto, kobiety i starcy na barykady — a na mieście nowe rozstrzelania, nowe, coraz szersze czarniejsze pożary, nowe śmierci i nowe straty”. A dalej: „Co znaczy słowo śmierć? W słowniku ten straszny wyraz powtórzył się tyle razy, każdy wyraz słownika zawierał w sobie tych sześć okropnych liter: — S—m—i—e—r—e—, że wreszcie zamazało się wszystko, pomieszało ze sobą, skłębiło i zatario w pomylonej pamięci, a w końcu bez śladu znikło”.

W utworze Rydzewskiej śmierć staje się zjawiskiem „negatywnym” bez względu na okoliczność, które jej towarzyszą. Ale jaka śmierć staje się przedmiotem podobnej oceny? Poszukajmy odpowiedzi w nieco omownych zdaniach samej autorki. „Błogosławiona niech będzie też moja śmierć, która wionie na mnie kiedyś, dziwnie obcym oddechem i lodowatym tchnieniem, zagasi wreszcie iskry, która dotliła się do końca — śmierć nie od bomby, nie od gazu czy kuli, lecz śmierć bardzo zwyczajna, dana mi od samego Boga”.

Można umrzeć, byle nie w walce, byle nie na froncie. To właśnie mówiły powieści *Ericha Maria Remarque’a*. Uważano tam każdą walkę za coś najzupełniej nieusprawiedliwionego, traktując ją właśnie jako wynik zmywu poszczególnych ludzi na wysokich stanowiskach. Naturalnie, nie można przypisać Rydzewskiej tych haseł w całej rozciągłości, tym niemniej jednak jej bezwzględny pacyfizm i ustawiczna selekcja okrucieństw ostatniej wojny, bez wytłumaczenia — dlaczego walczyć, pozwala nam dopatrywać się w „Godzinie W.” pozostawionej ideologii „wielkiego złudzenia” z niemieckiej beletrystyki lat dwudziestych i 30-tych. Był to wzorowy, mieszczański humanitaryzm. Gdy mówimy mieszczański, odnosi się to, w pewnym uproszczeniu, do sytuacji chociażby i niemieckiej. We współczesnej Polsce ideologia ta znaczy już coś innego. Staje się wyraziście pewnych grup drobnomieszczańskich, zawiedzionych na ostatnich wydarzeniach historycznych i widzących nonsens, może nie całej wojny, jak było w Niemczech w przypadku *Remarque’a*, a nonsens warszawskiego powstania, które nie doprowadziło do oczekiwanych celów, które najzwyczajniej w świecie zawiodło. Czy do tego tylko sprowadza się społeczna rola omawianego utworu? Oczywiście nie. Mówiłem przed chwilą i o dalszych koncepcjach, pojawiających się tak wyraźnie w książce Rydzewskiej. Podział na dobrych i złych ludzi jako istotny dla dzieł indetermizmu w ujmowaniu wydarzeń, negacja istnienia klas. Oczywiście bez trudu dałoby się stwierdzić, jakie środowiska wyznają najchętniej podobną tradycję filozoficzną, tym niemniej rzecz ważniejszą jest jej znaczenie społeczne. Przede wszystkim kto to są ludzie „dobrzy” i „zli” w dziele Rydzewskiej? Dobrzy działają według wskazań etyki drobnomieszczańskiej, „zli” łamią je. Oceny wszelkich wydarzeń dokonują się jak widać w odniesieniu do pewnych norm moralności społecznej. A te równają się solidaryzmowi, nacjonalistycznemu rozumieniu ojczyzny i specyficznemu pojmowaniu wolności. Pisarka mówi otwarcie: „A wolność — to właśnie chleb, dom, życie”. Wydaje mi się, że mimo całej niejasności tego zdania, pełni ono główną funkcję poznawczą, co uprawnia nas tym samym do przełożenia go na język bardziej jednoznaczny. Chleb — a więc dobrobyt, rodzina — a więc świętość drobnomieszczańska, życie zaś w takim kontekście ma odpowiadać jakiejś niewzruszonej harmonii społecznej, gdzie obowiązuje liberalizm i gdzie szanowane są prawa episyjara.

lym jest również znaczenie kształcenia przyrodniczego dla rozpowszechniania się materialistycznego poglądu na świat, dla właściwej oceny zjawisk społecznych.

Sygnały, pochodzące od szerokiej sfery czytelników, od czytelników gazet robotniczych, sygnały poparte listami i wynikami ankiet świadczą o tym, że masy pracujące domagają się popularno - naukowych książek, a przede wszystkim popularno - naukowych artykułów w gazetach codziennych, gdyż ta droga rozpowszechniania wiedzy jest najtańsza, kolportaż najprostszy i najbardziej bezpośredni.

Ankieta na temat dezcyderatów czytelników przeprowadzona przez wrocławski *dziennik*, „Trybuna Dolnośląska” wśród robotników Pafawagu, w fabrykach i kopalniach Dolnego Śląska dostarczyła danych, z których wynika, że bez wyjątku wszyscy uczestnicy ankiety domagają się częstszego publikowania artykułów naukowych i technicznych. Relacje korespondentów opisują ożywienie i zainteresowanie jakie budzą wśród szerokiej rzeszy czytelników artykuły opisujące udoskonalenia dokonane w narzędziach pracy przez robotników i inżynierów — opisują zachwyt, dyskusję, wysiłki zmierzające do naśladowania, do dorównania i prześcignięcia w pracy nowatorów i racjonalizatorów produkcji — wysiłki zmierzające do dokształcania się i zastosowania wiedzy teoretycznej. Robotnik bowiem nie uznaje wiedzy wyłącznie teoretycznej, interesuje go to, co ma namacalny związek z jego produkcją lub produkcją w ogóle.

Wymaganiom tym czynią zadość dodatki popularno - naukowych pism codziennych.

Dodatki popularno - naukowe mają różny charakter i w związku z tym różny zakres i treść, rozmiar i graficzne ujęcie. Jest ich niewiele — tylko 3 redakcje wydzielili raz na tydzień specjalne szpalty swych *dzienników* dla zagadnień popularno-naukowych.

Niektóre *dzienniki* zamieszczają w sposób luźny dość często artykuły popularno - naukowe. Czynniki tak np. „Trybuna Robotnicza”. W związku z tym nasuwa się pytanie czy słuszniejszą rzeczą jest skoncentrowanie odpowiedniego materiału na specjalnej stronicy — czy też bardziej wskazane jest rozproszenie go w ciągu tygodnia w mniejszych dawkach.

Znaczenie właściwej popularyzacji wiedzy technicznej i naukowej urasta do rozmiarów poważnego zagadnienia. Należy przy tym wziąć pod uwagę, że szkoła ogólnokształcąca nie znalazła dotychczas właściwie stosowanej formy budzenia trwałego zainteresowania młodzieży omawianymi sprawami.

KRONIKA RADZIECKA

KSIĄŻKI NADESŁANE

Przyczynnik do wiedzy o Lermontowie

Wśród młodzieńskich liryków Lermontowa z lat 1830–32 są wiersze miłosne zwrócone do nieznanej historykiem literatury kobiety. Poeta ukrył jej imię pod inicjałami N.F.I. lub też K.

W r. 1830 poeta miał zaledwie lat 16. Uważano, że trudno traktować tak młodzieńczą miłość zbyt poważnie. Zastanawiano się nad tym, czy w ogóle ta kobieta istniała.

Jednakże znanego badacza literatury H. Andronikowa*) nie zadowolili dotychczasowe opinie i rozpoczął badania starając się dociec prawdy.

Od razu na wstępnym etapie badawczym wyjaśniła się ciekawa okoliczność, a mianowicie ta, że imię nieznanej starła czyjaś ręka. Ktoś starał się usilnie o to, by imię to zniknęło ze wszystkich dokumentów literackich i z ludzkiej pamięci. Andronikow zaczął rozplątywać zesuplane nici, łącząc w badaniach swoich ciekawość literaturoznawcy z uporem prawdziwego detektywa. W książce swojej oprowadza nas po starych dworach i pałacach moskiewskich. Jest częstym gościem na Wagankowskim cmentarzu, gdzie odcyfrowuje stare nagrobki. Przerzuca nas do Kurska, gdzie ożywia świat dawny. I oto natrafia na ślad N. M. Obreskow, mąż N. Andronikowa. W przystępie zazdrości spalił wszystkie listy Lermontowa, wszystkie oryginały jego wierszy. Postarał się o to, by ukryć imię kobiety, która natknęła poetę tak głęboką i czystą miłością. A jednak wbrew tym usilowaniom zachował się do dziś stary, szlachecki album, w którym znajduje się imię i nazwisko Iwanowej i który zawiera wiersze Lermontowa, nieznane przez lat 100. Poszukiwania zakończyły się sukcesem i starto „białą plamę” w historii twórczości Lermontowa.

Nieraz już zdarzało się, że badacze literatury odkrywali jakieś zakompirowane miłości, jednakże rezultaty literackie tych odkryć były wątpliwe. Andronikowowi powiedli się badania dlatego, że za podstawę wzięli życie poety i jego środowiska. Tam gdzie inni badacze widzieli tylko naśladowanie obcych źródeł — Andronikow dojrzał prawdę życia. To pomogło mu na nowo i inaczej odczytać wiersze poety i odnaleźć jego nowe oblicze. Metoda ta doprowadziła do nowych, ciekawych odkryć.

Dramat Lermontowa z lat młodzieńczych, „Dziwny człowiek” uważany był zawsze za naśladowanie niemieckiej, romantycznej szkoły schillerowskiej. Bez wątpienia wielcy pociąg Niemiec i Anglii wywarli wpływ na twórczość Lermontowa. Andronikow za pomocą swej metody dowiódł, że u podstaw tego dramatu leży autentyczny materiał. Jest to nianowicie dokładny obraz jednego z wybitniejszych kół studenckich na uniwersytecie moskiewskim, do którego należał Lermontow. Oburzenie spowodowane pańszczyźnianym uciskiem niosło charakter rewolucyjny. W tym więc wypadku wpływ Schillera czy Byrona schodzi na plan drugi. Również w „Wadimie”, młodzieńczej powieści Lermontowa, widzi Andronikow obraz pugaczowskiego powstania w Penzeńskiej Gubernii. W powieści tej wpływy literatury obcych zaznacza się w przesadnej romantyczności utworu i w abstrakcyjnym obrazie samego Wadima. Ale podstawą powieści jest silny ruch chłopski i nienawiść do obszarników, gniebicielei ludu. Andronikow omawia z nowego punktu widzenia jeszcze niektóre utwory Lermontowa, między innymi „Demona”.

Ujawniając się związki Lermontowa z dekabrystami. Poeta nabiera coraz to nowych cech w nowym oświeceniu jego twórczości, które potwierdza swolity i narodowy charakter jego przeżyci. Na tym tle, opinia Czernyszewskiego o Lermontowie, że „politycznie był on zbilżony do kół Bielskiego, i tylko dlatego, że ostatnie swe lata spędził na Kaukazie, nie mógł brać udziału w dyskusjach Bielskiego i jego przyjaciół”, staje się wyrazista i pełniejsza.

Archiwum A. M. Skabiczewskiego

Niedawno odnaleziono archiwum literackie krytyka i historyka literatury rosyjskiej Aleksandra M. Skabiczewskiego. (1838–1910). Był on z przekonaniem umiarkowanym liberałem. W 1872 r. napisał „Zarys rozwoju idei w nowym społeczeństwie”. Książka ta została skonfiskowana i wydana następnie pod zmienionym tytułem „Czterdzięci lat krytyki rosyjskiej”. Znała jest także jego „Historia nowszej literatury rosyjskiej” (1891).

W archiwum literackim A. M. Skabiczewskiego znajdujemy setki listów i autobiografii wielu pisarzy, z których większość nie jest opublikowana. Zachowały się oryginały listów Bielskiego, Gorkiego, Korolenka, Czechowa, Złatowackiego, Uspieńskiego, Szeller-Michajłowa, Michajłowskiego, Kriwenko, Rubakina, Wengierowa, Boborykina, Mamina-Sybiraka, Niemirowicza-Danczenki i wielu innych.

*) H. Andronikow, „Lermontow”, Nowe badania, Wyd. „Sowietskij pisatel”, Moskwa, 1948, str. 108.

Do naszych abonentów

Wobec zbliżania się terminu zamykania r-ków za rok 1948, prosimy o uregulowanie prenumeraty „Kuźnicy” za IV kwartał bieżącego roku do dnia 20.12.1948 r. oraz o odnawianie jej na następny okres przed 20-tym każdego m-ca.

Nasze konto PKO Nr VII-567.

Wśród dokumentów znajduje się autobiografia Korolenka, oraz list Czechowa napisany z okazji jubileuszu Skabiczewskiego. Oto jego tekst:

St. Łospasnia, Moskiewsko — Kurska droga.
Wielce Szanowny Aleksandrze Michajłowicz!

Przez całe lato byłem na Krymie i dopiero z gazet dowiedziałem się o jubileuszu Pana. Dlatego też nie przesłałem depeszy gratulacyjnej w odpowiednim czasie. Nie znam Pana osobiście, więc brak mej osoby podczas uroczystości mógł ująć Pańskiej uwadze, mnie jednak wciąż niepokoi myśl, że postąpiłem głupio. W każdym razie proszę mi wybaczyć moje nieumyślne zamieszanie i przyjąć me spóźnione życzenia. Życzę Panu długich lat życia i ze szczerem i głębokim poważaniem pozostaję

Anton Czechow

Skabiczewski zmarł w r. 1910. Archiwum było w posiadaniu jego żony, która umarła w r. 1936 w Leningradzie. Po jej śmierci archiwum zaopiekowała się jej przybrana córka, która zmarła w końcu 1947 roku w Moskwie. Córka jej, porządkując papiery po zmarłej matce, natknęła się na listy znanych pisarzy rosyjskich do Skabiczewskiego i na inne materiały historyczno-literackie, które udostępniła badaniom naukowym.

Muzeum Moskiewskiego Teatru Artystycznego (Mchat)

Wraz z jubileuszem 50-lecia Mchatu, święciło swoje 25-lecie Muzeum Moskiewskiego Teatru Artystycznego. Założone zostało w r. 1923, gdy nie istniały jeszcze tzw. „muzea przy teatrach”. W Moskwie istniało tylko jedno muzeum teatralne Bachruszina, które zajmowało się historią powstania teatrów, historią teatru rosyjskiego w Moskwie, Petersburgu i innych miastach, oraz dramaturgią Gribojedowa, Ostrowskiego i innych

autorów. I oto grupa inicjatorów zwróciła się do osób prywatnych z prośbą o nadanie dokumentów, zdjęć czy rękopisów dotyczących historii Mchatu. Napłynęło trochę zdjęć, kostiumów, dokumentów i w 1923 r. w dzień 25-lecia teatru otwarto muzeum. Było ono bardzo ubogie, mieściło się w trzech małych pokojach, stało się jednak z czasem prawdziwym dużym muzeum historycznego teatru.

Uważano zawsze, że po śmierci aktora nic z niego nie zostaje, że żadne opowiadanie nie wyczerpuje obrazu artysty. Za życia aktor jest twórcą, wstrząsa, uczy, czaruje, a gdy umiera, umierają także jego kreacje. Tu właśnie może odegrać swoją rolę muzeum teatru, które przechowując przedmioty i dokumenty przekazuje potomności indywidualność i portret twórcy artysty.

Muzeum zajmuje obecnie 8 dużych sal, z których pierwsza poświęcona jest zaldzielcom teatru — Stanisławskiemu i Niemirowiczowi — Danczenko. W drugiej widzimy pierwszą trupę artystów odbywających próby w szopie w Puszkino; dalej, zdjęcia, makieły i rękopisy pierwszego, świetnego spektaklu „Car Fiodor”. Widzimy jak wchodzi do repertuaru Czechow („Czajka”) i „Wujaszek Wania”, potem w chronologicznym porządku sztuki Ibsena, Ostrowskiego, Tołstoja, aż do Gorkiego, który tematyzował swoją rozpoznał przewrót teatralny. W muzeum zakieło w wirny „Trzy siostry” i „Wiśniowy Sad” Czechowa, „Juliusza Cezara” Szekspira, „Revizora” Gogola, „Biedę z tym rozumem” Gribojedowa, „Mieszczan” Gorkiego i wszystkie ważniejsze osiągnięcia Teatru Artystycznego.

Druga połowa muzeum poświęcona jest okresowi radzieckiemu. A więc makieły, fotografie i kostiumy wystawionych sztuk, rękopisy, notatki aktorów, reżyserów, krytyków teatralnych itp. Muzeum cieszy się dużym powodzeniem. Ludzie związani z teatrem znajdując tam odpowiedzi na nurtujące ich teoretyczne i praktyczne zagadnienia.

z. l.

PRZEGŁĄD PRASY

NASZE pisma literackie przechodzą rozmaite okresy. Niekiedy w szlachetnym zapale „upowszechniania” rezygnują z właściwych im celów i metod, niekiedy przestają być pismami literackimi, których ważnym zadaniem jest rzeczowa informacja i odpowiedzialna krytyka.

Nie znaczy to bynajmniej, iż według mojego zdania pisma literackie są czymś odrębnym od reszty życia narodowego, że mają prawo wyłączać się ze spraw ogólnych i poświęcać swoje łany jedynie dociekaniu sekretów kunsztu pisarskiego. Sądzę tylko, że pisma literackie powinny być aktualne w ramach swoich zadań, tzn. w ramach spraw literatury i sztuki. Tymczasem tak nie jest. Nasze pisma nie nadążają za wydanictwami. Ważne pozycje wydawnicze pozostawiane są miesiacami odłogi, nikt o nich nie pisze. Szczególnie dotkliwy jest brak recenzji z dzieł poważnych, że wznioślejszej literatury klasycznej, lub takiej, która staje się klasyczną w naszej epoce. O ile w pierwszym okresie działalności pism literackich znacznie przewyższała zakres działalności wydawnictw, to obecnie rzecz ma się odwrotnie. Firmy wydawnicze — spółdzielcze i niektóre prywatne — wydają na ogół rzeczy cenne. W ciągu jednego tygodnia ukazują się na półkach książki Dreisera, France’a, Roger Martin du Gard, Prusa, listy Lelewela i jeszcze kilka pierwszorzędnych pozycji bibliograficznych. Tymczasem w prasie literackiej długie kolumny poświęca się zagadnieniu, czy wiersz p. X. Y. Z. jest zrozumiały czy też nie. Nie znamy miary w grzesznościach wobec dalekiej od tego by mogła służyć jako wzór poezji słowackiej czy węgierskiej i zamiast podawać je w najlepszych przykładach drukujemy to, co przysyłają tłumacze. W prasie literackiej panuje na ogół niechęć do klasyków, mało znajdujemy w niej artykułów popularyzatorskich, takich, któreby wskazywały na udział wielkiej literatury przeszłości w walce o rozsądne urządzenie świata. Z tego też powodu należy uznać, iż naprośnie chlubimy się antenami jak Mickiewicz, Balzac, Heine, Szekspir czy Puszkina. Jeśli przeciętny czytelnik prasy literackiej więcej dowiaduje się w ciągu roku o tym, co kolega X. sądzi o koleżce Y. i czy prawdą jest, że Z. popadł w grzech egzystencjalizmu, niż o tym, dlaczego mamy prawo powoływać

się dziś bardziej niż kiedykolwiek na imiona wielkich pisarzy przeszłości.

Szczególnie zaniebdana jest sprawa popularyzowania dawnej literatury polskiej. Mało obeznany ze sprawami literatury czytelnik mógłby pomyśleć, że literatura naszego kraju datuje się od roku 1945. Jak wiemy, to nie jest słuszne. Wśród tych mylnych moim zdaniem, posunięć wiele dałoby się zapisać zarówno na konto tygodnika w którym pisuję moje felietony, jak i innych pism. „Odrodzenie”, które przez dłuższy czas usilowało zmienić swój charakter pisma literackiego na popularniejszy znacznie magazyn, powróciło szalenie do swojej właściwej roli.

Dla przykładu zacytuje tu treść ostatnich kilku numerów tego tygodnika. Nr. 46 przynosi bardzo interesujące materiały do dziejów współczesnej literatury. Artykuł Parandowskiego o Stefanie Zweigu, artykuł Osmańczyka o dwóch znakomitych nowych dziełach Tomasza Manna, przekład noweli Maupassanta, świetny przekład bardzo aktualnego w obecnej chwili dla literatów polskich wiersza Majakowskiego („Rozmowa z inspektorem podatkowym o poezji”) — to wszystko z zagranicy. Wywiad z Nalkowską o jej nowej powieści „Węzły życia” oraz recenzja Sandaiera z nowego tomu Jastruna — to sprawy polskie. Gdyby jeszcze był w numerze duży artykuł o powieści, o poezji polskiej w XIX wieku lub choćby o pięknym zbiorze dawnej liryki, jak np. Jakuba Trembeckiego „Wirydarz poetycki”, wówczas byłbym już zupełnie zadowolony, a wraz ze mną pewnie i liczni czytelnicy „Odrodzenia”, którzy obok spraw aktualnych interesowaliby się też może naszą przeszłością kulturalną.

W następnym (48) numerze ucieszył mnie Aleksandra Semkowicz artykuł o „Pierwszym pośmiertnym wydaniu „Pism” Mickiewicza w Warszawie”. Sprawy bibliografii są u nas tak zaniedbane, że każda pozycja rzucająca nieco światła na stosunki wydawnicze w przeszłości jest moim zdaniem niezmiernie cenna. Nade wszystko jednak zachwylił mnie w przekładzie i ze wstępem Kotta fragment „Salonów” Diderota, które czyta się dziś z tym samym zapewne zaciekawieniem z jakim jest czytano w kołach rewolucyjnej burżuazji i liberalnych grand-sigierów przed 150 laty w Paryżu. Skutki tej lektury są nam znane i potwierdzone przez historię.

ph.

K O R E S P O N D E N C J A

Bibliografia dzieł Thomasa Manna

Od Dyrekcji Biblioteki Narodowej w Warszawie (Rakowiecka 6, tel. 405-43) otrzymujemy następujący komunikat:

Do Biblioteki Narodowej coraz częściej zwracają się z zagranicy o rozmaite informacje. Ostatnio w związku z przygotowywaniem międzynarodowej bibliografii Thomasa Manna proszono nas o zestawienie bibliografii wydanych w Polsce dzieł i artykułów Manna oraz literatury o nim. Jednocześnie wpłynęło za pytanie, czy zajmuje się ktoś w Polsce naukowo twórczością Manna. Uprzejmie prosimy osoby zainteresowane tą sprawą o porozumienie się z Biblioteką Narodową (Biuro Informacji).

W sprawie materiałów po Boyu

W związku z wykonywaną w tutejszym Zakładzie pracą naukową na temat działalnoś-

ci lekarskiej dr. Tadeusza Boya — Żeleńskiego, zwracam się do Pana Redaktora z uprzejmą prośbą, o umieszczenie w jego poczytnym piśmie następującego komunikatu: osoby posiadające jakiegokolwiek materiał w formie listów, pamiętek itp. po ś.p. Dr. Tadeuszu Boyu-Żeleńskim, proszone są uprzejmie o użyczenie ich prof. Dr. Tadeuszowi Bilikiewiczowi — Gdańsk — Akademia Lekarska — Zakład Historii Medycyny, celem wykorzystania biograficznego.

Prosi się również wszystkie osoby, które są w stanie udzielić jakiegokolwiek wskazówek i informacji na powyższy temat, lub też mogące odtworzyć ze swych wspomnień ważne ze względu na charakterystykę czy biografii Boya momenty w Jego życiu o przesłanie swych uwag na wzmiarkowany powyżej adres.

Prof. Dr. Tadeusz Bilikiewicz

- J. B. Priestley: Trzej panowie w cywilu. Powieść. Autoryzowany przekład Melanii Węgrmanówny. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 216, zł 250.—
- Stefania Sempolowska: Na ratunek. Wyd. I. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 312, zł 200.—
- Arturo Serrano Plaia: Niebo i ruiny. Opowiadania madryckie, przekł. Zofii Szleyen. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 152, zł 240.—
- Halina Górka: Chłopy z ulic miasta. Powieść dla młodzieży. Wyd. III. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 96, zł 80.—
- Upton Sinclair: Król Węgier, przekł. z angielskiego A. Sokolicz. Wyd. I. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 272, zł 170.—
- Maria Konopnicka: Między dwiema gminami. Szkła w I akcie, udratyzował A. Nowaczyński. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 56, zł 100.—
- Józef Stalin: Międzynarodowy charakter Rewolucji Październikowej (na dziesięciolecie października). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 20, zł 40.—
- A. A. Zdanow: Przemówienie wygłoszone w dyskusji nad książką J. Aleksandrowa: „Historia zachodnio-europejskiej filozofii”. 24 czerwca 1947 roku. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 44, zł 60.—
- Armand Salacrou: Lajdacy. Sztuka w 1 akcie (fragment „Nocy gniewu”) przekł. Tadeusza Żoromskiego. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 48, zł 100.—
- Fryderyk Engels: Ludwik i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej. Wyd. III. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 88, zł 90.—
- Karol Marks: Praca najemna i kapitał. Wyd. III. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 52, zł 80.—
- P. Judin: O budownictwie socjalizmu i komunizmu w ZSRR. Stenogram wykładu. Nakładem Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 52, zł 70.—
- Jan Krajewski: 340 cegieł w ciągu 8 godzin. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 24, zł 70.—
- Ivan Olbracht: Anna proletariuszka. Powieść o roku 1920. przekł. Heleny Gruszczyńskiej-Dubowej. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 296, zł 350.—
- I. Turgeniew: Dym. Przekł. Dr T. Stepnińskiego. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Łódź-Wrocław 1948, str. 258.
- J. I. Kraszewski: Ostatni z Siedmiu. Historia szlachecka. Nakł. wydawn. Władysława Bałki. Łódź-Wrocław 1948, str. 232.
- Kazimierz Zenon Skierski: U przystani. Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1948, str. 284.
- H. Boguszewska i J. Kornacki: Jada wozy z cegła. Powieść. Wyd. III. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1948, str. 256.
- Benedykt Hertz: Tragedia śmiesznych ludzi (ze sta-rego notatnika). Nakł. wydawn. Ludwika Flisza. Warszawa 1948, str. 204.
- Henryk Batowski: Związy zarys dziejów słowiańskich. Nakł. Spółdz. Pracy i Użytkowników „Czytelnik”. Kraków 1948, str. 298 + XIV map. zł 350.—
- Stanisław Dziński: Klechdy polskie. Seria pierwsza. Nakł. wydawn. Józefa Kubickiego, Warszawa 1948, str. 447.
- Stefan Łaskiewicz: Opowieści Róży Wiatrów. Nakł. wydawn. S. Arcta. Warszawa 1948, str. 272.
- Stefan Żeromski: Charitas (Powieść). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Warszawa 1948, str. 304.
- Stefan Żeromski: Uroda życia (Powieść). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Warszawa 1948, str. 386.
- Zofia Nalkowska: Węzły życia (Powieść). Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Warszawa 1948, str. 293.
- Leon Kruczkowski: Słota (Powieść). Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Warszawa 1948, str. 258.
- Emanuel Kozakiewicz: Gwiazda. Przekł. St. Strupm Wojtkiewicz. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Warszawa 1948, str. 184.
- Ksawery Pruszyński: Opowiadania. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Warszawa 1948, str. 64, zł 50.—
- Wacław Gąsiorowski (Wiesław Sclavus): Pigularz. Część II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Czytelnik”. Warszawa 1948, str. 64, zł 50.—
- Zofia Nalkowska: Charaktery dawne i ostatnie. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1948, str. 132.
- Kalendarz Informator Polaka zagranicą 1949. Pod red. Aleksandra Wilnicza. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1948, str. 237.
- Karol Koźmiński: Sułkowski, jakobin polski. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1948, str. 103.
- Aron Tamasi: Abel w puszczy. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Wiedza”. Warszawa 1948, str. 248.
- Ewa Szelburg-Zarembina: Połne grusze. Wyd. II. Nakł. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, 1948, str. 180.
- A. L. Morton: Dzieje ludu angielskiego. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1948, str. 353.
- Stanisław Wyspiański: Warszawa. Pieśń z roku 1891. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1948, str. 100.
- Mieczysław Rulikowski: Przyszłość teatru w Warszawie. Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego, Warszawa 1948.
- Dr Bronisław Kocowski: Wyprawa Tatarów na Węgry przez Polskę w 1594 r. Nakł. Towarzystwa Naukowego KUL, Lublin 1948, str. 70.
- Leon Białkowski: Ród Bibersteinów a ród Momontów godła Jeleniego Rogu w wiekach XIV–XVI. Nakł. Towarzystwa Naukowego KUL, Lublin 1948, str. 18.
- Jerzy Ficowski: Ołowiani żołnierze. Wiersze. Nakł. wydawn. Eugeniusza Kutana, Warszawa — Kraków 1948, str. 47.
- Wanda Melcer: Morele Madzi. Powieść. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 256, zł 350.—
- Pamiętniki robotników z czasów okupacji. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 328, zł 420.—
- Wanda Markowska i Anna Mińska: Baśnie różnych ludów. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 176, zł 320.—
- Maria Konopnicka (podług Oskara Hoekera): Olimpijczyk. Opowiadania historyczne z czasów Periklesa. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 248, zł 220.—, w uprawie zł 400.—
- Aleksander Fredro: Zemsta. Komedia w czterech aktach, wierszem. Opracowała Stefania Kni-spiówna, wstępem opatrzył Kazimierz Budzyk. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 150, zł 160.—
- Lew Kasil: Moi drodzy chłopy. Przekł. Nadziei Druckiej. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 203, zł 350.—
- G. A. Kozłow: Początki kapitalizmu. Produkcja towarowa. Pieniądz. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 168, zł 170.—
- Zofia Charszewska: Franek jego pies i spółka. Powieść dla dzieci. Wyd. II. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 100, zł 150.—
- Bolesław Prus: Opowiadania wieczne. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 280, zł 320.—
- Bolesław Prus: Szkice i obrazy, tom IV — Dusze w niewoli. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 220, zł 280.—
- Fryderyk Engels: Zasady komunizmu. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 48, zł 50.—
- Maria Konopnicka: Poezje. Wybór dla kl. III szkoły podstawowej. Wyd. III. Nakł. Spółdz. Wydawn. „Książka”. Warszawa 1948, str. 68, zł 60.—

Bertrand Russel w roli Apostoła... Wojny

Filozofia burżuazyjna już dawno przeżyła swój „Sturm und Drang Periode” — w którym młode siły rodzącego się kapitalizmu szturmuje na pozycję zmurszałego ustroju feudalnego, z młodzieńczym zapałem wnoszą nowe, pozytywne wartości kulturalne. Rozkład cechujący obecny ustrój kapitalistyczny znajduje swoje odbicie u filozofów i uczonych. Nawet i ci spośród przedstawicieli cywilizacji zachodu, którzy pielęgnują w sobie XIX-wieczny optymizm liberalnej burżuazji, okazują się w rezultacie filarami imperializmu. Przykładem może służyć wypowiedź głosem filozofa Bertranda Russela, która ukazała się na łamach „New Leader” z 4 września r.b. pt. „World Government”.

Pisze on w konkluzji swego artykułu: „Jest jeszcze wielu ludzi, dla których projekt rządu światowego jest utopią i fikcją. Istnieją jednak tendencje, które sprawiają, iż powstanie takiego rządu jest rzeczą prawdopodobną...”

Wielkie mocarstwa mają tendencję stawania się coraz większymi, a małe państwa w coraz większym stopniu są zmuszone do stawania się satelitami mocarstw. Ponieważ zaś nasza planeta jest pewnej określonej wielkości, tendencja ta, jeśli będzie się ujawniała nadal, musi doprowadzić do przewagi jednego państwa. Istnieją dzisiaj tylko dwa zupełnie niepodległe państwa...”

Jak się łatwo domyśli czytelnik tymi dwoma niepodległymi państwami na naszym globie są Stany Zjednoczone i Związek Radziecki. Bieg rozumowania autora jest słuszny, z tym „małym” zastrzeżeniem, że odnosi się tylko jedynie do państw znajdujących się poza tzw. „żelazną kurtyną”, czyli objętych dobroczynnymi wpływami planu marshallowskiego. O ile chodzi o tamte obszary, zgadzamy się w zupełności z Bertrendem Russellem, że jedyne państwo niepodległe stanowią tam Stany Zjednoczone. Omylił się on jedynie co do obszarów, które w umyśle przeciętnego mieszczucha znajdują się za tzw. żelazną kurtyną. Ale trudno wymagać nawet od filozofa takiej miary jak Bertrand Russel, aby się wznosił ponad mentalność swojej klasy.

Sledzimy jednak dalej za biegiem myśli autora:



„Mamy więc dwa niepodległe państwa: St. Zjednoczone i Z.S.R.R. Jeśli jedno z nich pobije drugie, powstanie tylko jedno naprawdę niepodległe państwo. Potrzeba będzie wówczas tylko niewielkiej dozy mądrości politycznej, aby zapobiec rozbiściu się świata znowu na zupełnie samodzielne jednostki. Sądzę, iż to Ameryka, a nie ZSRR będzie miała tę dozę mądrości...”

Autor nie zadawała się przypisaniem Ameryce owej dozy mądrości, której skutki odczuwają najlepiej sami jego rodacy.

W ciągu dalszym obnaża całkiem już jaszkrawo oblicze, nie tyle filozofa, ile walczącego stronnika kapitalizmu. Pisze:

„Myślę także, że jeżeli przyjdzie wojna światowa, Ameryka i jej sojusznicy zwyciężą i zaprowadzą rząd światowy. Jeśli nadzieje te są usprawiedliwione, istnieje poważne powody każe wierzyć, że świat po przejściu kilku straszliwych lat wstąpi, znowu w erę, w której najtrudniejsze zagadnienia będzie można rozwiązać i w której będzie można rozsądnie żyć taki optymizm, jaki zachował wiek XIX...”

Jasno i wyraźnie. Trzeba się tylko uzbroić w angielską flegmę, przesiedzieć kilka lat a później wszystko będzie „all right”, tak jak w XIX w. Jak widzimy między filozofami a la Bertrand Russel a kapitalistami z Wall-Street istnieje idealna zgodność poglądów. Takie oto figle piata Nemezis dziejowa.

Kp

Prus o Akademii Krakowskiej

Tak się przypadkiem złożyło, że zaraz po przeczytaniu diatrymy „Tygodnika Powszechnego”, gromiącego naszego „Kandyda” za brak szacunku dla Akademii Umiejętności, siegnąłem po nowy „Wybór kronik” Bolesława Prusa. Biblioteka pisarzy Polskich i Obcych, opracowanie Zygmunta Szwejkowskiego. W kronice Tygodniowej z roku 1886 Prus zastanawia się nad przyczynami fatalnego stanu zdrowia ludności polskiej w Galicji. Pisze:

1886
huc! chłopcy!



„Nie wyjaśniają tej kwestii ani organa Rządu Centralnego, który przez cały wiek pracował nad stworzeniem dla polskiej ludności zabójczych ekonomicznych warunków, ani władze autonomiczne, które widać nie mają czasu badać kwestii zwyrodnienia — ani nawet Akademia Krakowska.

Poważne to ciałko wydaje wprawdzie roczniki do antropologii i etnografii miejscowej, bada kolor oczu i włosów, zbiera pieśni oraz przysłowia ludowe, nawet rozkopuje przedhistoryczne mogiły; ale (o ile wiem dotychczas) nie jest w stanie odpowiedzieć z jakich przyczyn i jak daleko posunęło się zwyrodnienie ludności polskiej, jaki upiór wysysa jej siły, krew i życie?

Nawet — życie. W Krakowie bowiem i jego okolicach średnia długość życia wynosi 27 lat, co przedstawia straszną śmiertelność i jest znakiem bezmiernie niedzy...

Podobne roztrągnięcie ciała uczonego jest tym dziwniejsze, że już nie żaden statysta, ale po prostu niżej podpisany od wielu lat zwracał uwagę na gwałtowną potrzebę badania ludności polskiej pod względem anatomicznym i fizjologicznym. Ponieważ jednak i nasi lekarze i nawet dość liczne w kraju towarzysztwa lekarskie wyznają akademicki program: „huc! chłopcy!...” obserwacji więc nikł nie robił...”

Muszę przyznać, że z wielką satysfakcją przeczytałem te słowa Prusa o przeszłości naszej dostojnej solenizantki. I chociaż „Kandyd” podnosił piękne tradycje Akademii, myślałem, że i Bolesław Prus miał swoje racje, kpiąc z akademickiego: „huc! chłopcy!...”

jk.

Dzielnie pracują socjologowie na U. J.

Koło socjologiczne i etnologiczne Studentów U.J. w Krakowie wydało przekład niemieckiego wydania książki Pitirima Sorokina pt. „Teorie Socjologiczne XIX i XX wieku”. Dla uprzytomnienia sobie strasznego stanu rzeczy w humanistyce polskiej, warto posłuchać, jakich poglądów uczą się studenci socjologii na polskim uniwersytecie powojennym. Oto wyjątki z krytyki szkoły rasowo-antropologicznej, przeprowadzonej przez Sorokina:

„...ma ona słusność pod tym względem, iż podkreśla przyrodzone (podkr. moje lkt) różnice pomiędzy rasami, klasami społecznymi i jednostkami... To samo ma miejsce tak u jednostek, jak i klas społecznych wewnątrz jednej i tej samej rasy. Ludzie tej samej rasy nigdy nie są równi, klasy tej samej społeczności różnią się bardzo w swych fizycznych, życiowych i duchowych właściwościach. Dotyczy to również różnic pomiędzy rasami. Nawet gdy część tych różnic pomiędzy rasami i klasami społecznymi przypiszemy wpływom środowiska, to inna część tych różnic ma niewątpliwie źródło w heterogenezie i dziedziczności.

„...Warstwy społeczne tego samego społeczeństwa w swym przekroju wykazują znaczne różnice tak pod względem inteligencji, jak i innych cech. Jeżeli porównamy... liczbę wybitnych jednostek, które wydały wyższe klasy w Anglii, Rosji, Niemczech, Stanach Zjednoczonych i Francji, to widzimy przewagę w tym względzie klas wyższych nad niższymi. Wyniki badań inteligencji i odpowiednio dane porównawcze są zgodne. Są one wyższe u dzieci i dorosłych z klas wyższych, niż z klas niższych...”



„Klasy wyższe są inteligentniejsze od niższych. Odpowiednie dane przytacza P. Sorokin w swojej pracy „Social Mobility”. Wyniki badań inteligencji w armii amerykańskiej wskazują na ściśle związek pomiędzy sytuacją społeczną a inteligencją.

„...różnice o których mowa wywodzą się zarówno ze środowiska, jak i z dziedziczenia. W żadnym jednak razie nie można ich tłumaczyć tylko wpływem środowiska... Ze czynnik ten (dziedziczność) ma decydujące znaczenie, jest dla poważniejszych uczonych rzeczą oczywistą...”

„...Szkoła ta... słusznie... uważa zmiany rasowe jako wyjaśnienie zjawisk społecznych. Jeżeli zmiany takie prowadzą do utrzymania się najlepszych jednostek, może to ułatwić postęp społeczeństwa. W przeciwnym razie zmiany doprowadziłyby do upadku... upadek społeczeństwa bywa związany zwykle ze zmianami w jego składzie rasowym...”

„...Nikła rozróżność klas wyższych prowadzi do relatywnego lub absolutnego zmniejszenia

się liczby ich przedstawicieli w przyszłym społeczeństwie. W zależności od tego, jak dalece właściwości klas wyższych polegają na dziedziczeniu, prowadzi to do zubożenia rasowego stanu przyszłego społeczeństwa...”

„...rasy różnią się tak pod względem fizycznym, jak i duchowym... Istnienia tych różnic dowodzi przede wszystkim różny udział różnych ras w historii ludzkości i w osiągnięciach kulturalnych. Jakkolwiek wszystkie typy rasowe miały możliwość stworzenia wyższych form kultury i jakkolwiek nie było tu prawie ograniczenia czasowego, to np. rola pierwotnych społeczeństw australijskich i rasy negryjskiej ledwie się zaznaczyła. Tymczasem rola i osiągnięcia rasy kaspijskiej, alpejskiej i śródziemnomorskiej były nadzwyczajnie wielkie... Były one twórcami wyższych form kulturalnych, były zdobywcami, którzy podbili prawie wszystkie inne rasy, rozpraszając się na całym świecie. Rdzeń wniosków Gobineau wydaje się być pod tym względem słuszny. Dixon powiada: „Istnieje różnica pomiędzy rasami ludzkimi, która zasada się na zdolnościach intelektualnych, siłach moralnych, na tym wszystkim, co naród zrobiło i robi wielkim. Jest to dla mnie prawda, w którą wierzę, cokolwiekby powiedzieli zwolennicy równości ludzi...”

„Negrzy i inne, niżej stojące rasy, wykazują uzdolnienia intelektualne tylko w stosunku do zawartej w ich żyłach krwi rasy białej...”

„...Rasa czerwona stoi wyżej od Negrów, lecz mimo to nie dorównuje rasie białej...”

W konkluzji „dochodzimy do wniosku, że szkoła rasowo - antropologiczna jest jedną z najbardziej ważnych i wartościowych w socjologii...”

A oto poglądy autora w związku z systemem Vilfredo Pareto. Na wstępie część danego przez autora opisu samego systemu:

„...ważnym i stałym czynnikiem w systemach społecznych jest różnorodność pochodzenia jednostek. Jest to stary i bezsporny fakt. Ludzie pod względem fizycznym, moralnym i intelektualnym są różnorodni. Jest to przyczyna uwarstwienia społecznego i nierówności społecznych. Są to również stałe elementy każdego systemu społecznego... Pareto ostro skrytykował teorie równości, demokracji, autonomii itp., nie ma jakiegokolwiek ustroju społecznego lub politycznego, w którym mogłaby być urzeczywistniona idea demokracji czy równości... Jakkolwiek byłoby używane środki, różnorodność pochodzenia jednostek prowadziła będzie do nierówności społecznych. Pojęcia takie, jak demokracja, równość i inne podniosłe frazesy mogą być w ideologiach pozytywne. Niemniej jednak fakt istnienia uwarstwienia społecznego, które mają miejsce w grupach i społeczeństwach, nie usuną...”

„...w każdej społeczności można wydzielić dwie warstwy: niższą i wyższą. Ponieważ istnieje uwarstwienie, musi istnieć również przechodzenie jednostek z klas niższych do wyższych i naodwrot... Każda istniejąca arystokracja jest zmuszona przedrzeć czy później zniknąć... uzdolnieni członkowie dolnych klas wspinają się na wyższe społeczne stanowiska... W przeciwnieństwie do tklitych ideologii liberalnego humanitaryzmu”, podkreśla Pareto, że „liberalne” przekonanie o bezskuteczności ostrych środków, które służą utrzymaniu uprzywilejowanych arystokratycznych pozycji, nie jest słuszne... Pareto przewiduje załamanie się współczesnych parlamentarnych, słabych i pacyfistycznych plutokracji w krajach demokratycznych; dalej powstanie nowej, surowej, męskiej i militarnej arystokracji, rekrutującej się z klas niższych. Urzeczywistnił to faszyzm, który dał Paretovi miejsce pomiędzy swymi duchowymi wodzami!”

A oto ocena samego autora:

„Przewodnie myśli socjologii Pareto muszą być uznane za słuszne... jego teoria o niejednorodności pochodzenia ludzi, społecznym uwarstwieniu, obiegu elity, jak również jego krytyka „chwijnych” ideologii postępu, demokracji, solidarności itp. jest przez wielu badaczy potwierdzona i rozwinięta...”

Chyba dość cytów. Nasuwają się nieodparcie pewne pytania:

1. Kto odpowiada za wydawanie dla studentów podręczników, szerzących dawno skompromitowane w nauce rasistowskie teorie?
2. Kto się zajmie skandalicznym stanem rzeczy, istniejącym na socjologii krakowskiej?
3. Jak długo jeszcze młodzież akademicka będzie narażana na uniwersytetach na ideologiczne oddziaływanie faszyzmu?

lkt.

Q dobre imię Sulejowa

Niewielkie miasteczko nad Pilicą zaprzętało sobą w ostatnich czasach dwukrotnie uwagę publiczną. Po raz pierwszy stało się to latem, kiedy dzięki świetnej książce Lucjana Rudnickiego „Stare i nowe”, osada ta weszła do literatury jako typowy wzorzec miasteczka polskiego przed ćwierćwieczem. Chociaż L. Rudnicki nie wyidealizował tam bynajmniej swego grodu rodzinnego ani jego mieszkańców, znakomicie plastyczny obraz jaki stworzył nie przyczynił im bynajmniej jej sławy. Przeciwnie, jak każda uczciwa prawda artystyczna sprawiła, że miasteczko nabrało potrośze cech „obyczajowego pomnika” i jak wszystkie Cisy, Łżawce i Kalinice literatury polskiej zostało literacko niejako „zmonumentalizowane”.

W zeszłym tygodniu byłem w Sulejowie jako czytelnikowski (od Sp. Wyd. „Czytelnik”) „autor wśród czytelników” na konferencji tamtejszego nauczycielstwa. Dowiedziałem się, że „Stare i nowe”, którego kilkanaście egzemplarzy autorskich znalazło się w miasteczku zostało przez miejscowych czytelników należycie ocenione i z wdzięcznością przyjęte.

— Wszystko, co napisał Lucjan Rudnicki to najprawdziwsza prawda — stwierdzili „bohaterowie” oraz najbliżsi krewni i sąsiedzi bohaterów „Starego i Nowego”.



Natomiast drugi świeższej daty wypadek zaprzętnięcia uwagi publicznej Sulejowem wyniki — jak stwierdziło nauczycielstwo sulejowskie — z błędnego i niesłusznego powiązania prawdziwych faktów z rodzinnym miastem Lucjana Rudnickiego. Chodzi o tzw. „wypadki sulejowskie”. Podając obecnie wiadomości na temat procesu o pobicie studentów — historyków sztuki przez sfanatyzowany motłoch, prasa podaje ściśle, że rzecz miała miejsce w Gorzkowicach i Kamińsku, pierwsze jednak, alarmujące wiadomości o wyczynach naszego ciemnogrodu, umiejscowiły je w Sulejowie, gdzie studenci przez dłuższy czas mieszkali i byli gościnnie przyjmowani.

— Niech pan koniecznie o tym napisze, żeby ratować dobre imię Sulejowa. Nie było „wypadków sulejowskich”, lecz „gorzkowickie” i „kamińskie”.

Myślę, że ambicja mieszkańców Sulejowa jest słuszną i że wzmianka ratująca dobre imię tej osady im się należy.

r. m.

Niepoprawna „Przyjaciółka”

„Przyjaciółka”, pismo wychodzące w nakładzie miliona egzemplarzy (dłatego po raz drugi, dajemy o nim notę), zamieszcza na ostatniej stronie reprodukcje obrazów. Jest to bodaj jedyna strona tego pisma poświęcona popularyzowaniu sztuki. Wśród mądrych rad udzielanych nieścieśliwie zachowanym i właścicielom pryszczyków oraz piegów ta strona powinna być oknem na kraje piękna i poezji. Rzeczywiście było kilka ładnych reprodukcji w kilku numerach „Przyjaciółki” — obok bardzo złych, drobnomieszczanskich w guście, kiczowatych w wykonaniu „Przyjaciółka” nie posłuchała naszych rad przyjacielskich — i zamiast reprodukcji z Matejki, Rodakowskiego, Kotsisa, Michałowskiego (żeby tylko dawnych malarzy polskich wymienić), umieszcza szmirowate obrazy Piotrowskiego (oczywiście nie Mieczysława) i Wojciecha Kossaka.

To nie jest sprawa błaża. „Przyjaciółka” dociera „pod strzechy” i korzystając z tego szerzy pod tymi strzechami zły smak, drobnomieszczanskie, sentymentalne, tanie upodobania. A mogłaby przecież „Przyjaciółka” wykorzystać również sztukę ludową i współczesną, mogłaby poprosić któregoś ze znawców o pomoc w wyborze. Nie należy upierać się w błędach, nie należy proponować złej sztuki. Upór piękności szkodzi.

kr.

Zasługi wydawców

Sezon jesienny był okresem obfitości zniw książkowych. Rubryka niniejsza mogła zgromadzić kilkadziesiąt tytułów wznowionych lub wydanych poraz pierwszy arcydzieł literatury. Miejmy nadzieję, że okres zimowy nie będzie gorszy.

Ostatnio w księgarniach pojawiły się następujące cenne i godne odnotowania pozycje: Nakładem „Wiedzy”, jako jeden z tomów „Pism wybranych” znakomitego entomologa francuskiego i doskonałego pisarza, Fabre’a „Dziwły instytut pajaków i owadów”; Nakładem „Książki” Anatola France’a „Tais”; Chciałbym tu przypomnieć, że wydanie dzieł France’a należy uważać za obowiązek i że było ono zapoczątkowane przez Mortkowicza.

Wreszcie Księgarnia Baka wydała czwartą książkę Turgieniewa. Tym razem jest to „Rudin”. Wraz z „Wiosennymi wodami” jest to piąta pozycja bibliograficzna Turgieniewa w ciągu dwóch lat. Bardzo pocieszający objaw. Oby ten zapał wydawniczy rozciągał się jak najrychlejszy na dzieła Lwa Tołstoja, Dostojewskiego, Czechowa, Gogola i tylu, tylu innych.

ph.

Redaguje: Zespół „Kuznicy”. Wydaje: Spółdzielnia Wyd. „Czytelnik”
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ZOŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr. 96. — Telefon 204-75
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalie 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
Miesięcznie zł. 80.—; kwartalnie zł. 240.—; półrocznie zł. 480.—; rocznie zł. 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P.K.O. konto VII-567 „Prenumerata Kuznicy”.
Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczej „Czytelnik” — Łódź, Zwirki 2 D-030103



11756-A